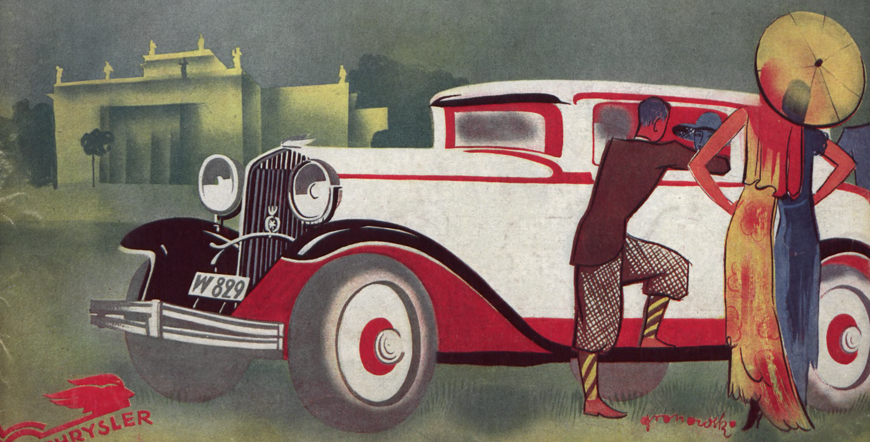
LIPIEC SIERPIEŃ 1930.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE




Soir de Paris
Soir de Paris
Evening in Paris
BOURJOIS
PARIS - FRANCE
BOURJOIS PARIS

Cena numeru niniejszego zł. 1.40

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

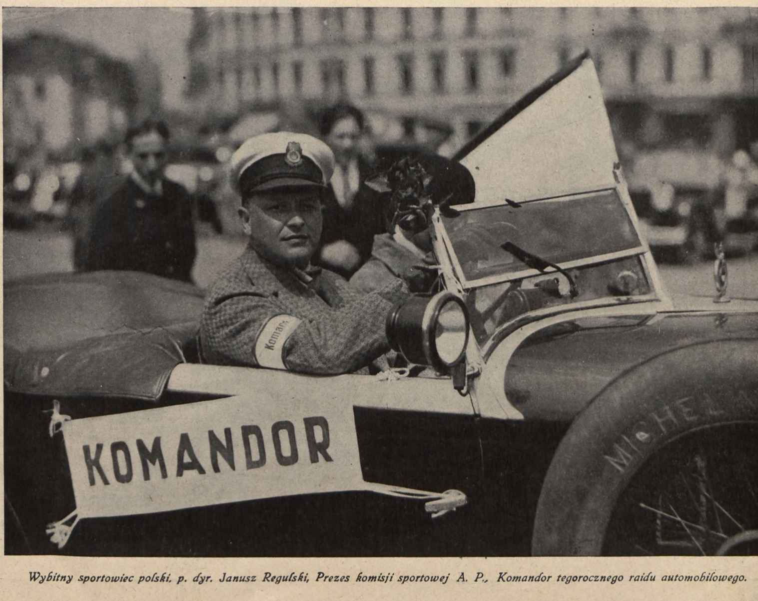
ROK IV — CZASOPISMO ILUSTROWANE — LIPIEC–SIERPIEŃ 1930 r.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, JAKUBOWSKA Nr. 14. TELEFON 72-85.



TREŚĆ NUMERU:





Wybitny sportowiec polski, p. dyr. Janusz Regulski, Prezes komisji sportowej A. P., Komandor tegorocznego raidu automobilowego.



Najpiękniejsza Linja

Doskonałość i piękność — oto cechy najbardziej rasowego samochodu — LINCOLN'A.

Płynne linje jego nadwozi, projektowanych przez słynnych mistrzów sztuki powoźniczej, wabią oko najbardziej wymagającego amatora, a każdy szczegół konstrukcji potężnego silnika—wzbudza zachwyt znawcy-technika.

Każdy samochód LINCOLN jest wykańczany indywidualnie dla najwybredniejszych miłośników automobilizmu.

LINCOLN Ford FORDSON



LINCOLN

UPOWAŻNIONE PRZEDSTAWICIELSTWA W POLSCE:

WARSZAWA:
Autotraktor Sp. z ogr. odp.
B-cia S. i P. Bergman, Inżynierowie
Motofors Sp. z ogr. odp.

KRAKÓW: Ludwik Hubicki
LWÓW: Eshape Sp. z ogr. odp.
POZNAŃ: Józef Zagórski

FORD MOTOR COMPANY—DZIAŁ SAMOCHODÓW LINCOLN

Teatr i Życie Wytworne.

ROK IV

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, JAKUBOWSKA Nr. 14. TELEFON 72-85

LIPIEC – SIERPIEŃ 1930 R.



Pani Marja Krąkowska *Suknia: model firmy Herse*

5

WACŁAW GRUBIŃSKI

ROZMOWA SĄSIEDZKA

Czytałem w kawiarni jakieś mało zajmujące pismo zagraniczne i zaczynałem ziewać. Tymczasem dwaj młodzi panowie, popijający mazagran przy (a może na) sąsiednim stoliku rozmawiali coraz głośniej. Mimowoli usłyszałem dość duży fragment ich djalogu, który tu powtórzę, ponieważ mam wrażenie, że djalogującym nie zrobi to przykrości, a nawet może przeciwnie... Mówili o Claudelu. Rozmowa na temat nie polityczny i nie ekonomiczny, ale na teatralno-literacki. Co za ulga! Więc jednak jesteśmy narodem cywilizowanym, który ma i zainteresowania tak zwane bezinteresowne.

Djalog toczył się jak następuje.

— Powinno się wystawić Claudela. To jest pisarz genjalny. To jest pisarz przyszłości. Do niego należy Jutro.

— Pisarz przyszłości? Chciał pan chyba powiedzieć: przeszłości?

— Nie. Przyszłości. Jego ideologja, najzupełniej nowa, porywa młode pokolenie, to pokolenie najmłodsze, od którego zależą losy świata.

— Losy świata zależą od najmłodszego pokolenia? Od tego pokolenia, które dopiero szczebiocze: mama, tata, mlimli?

— Pan mnie chyba umyślnie nie chce zrozumieć! Ja mówię o tem pokoleniu najmłodszem, które już przyszło do używania rozumu.

— W takim razie ludzie czterdziestokilkoletni. Wcześniej można, owszem, mieć rozum, ale rzadko się zdarza, żeby człowiek przed czterdziestką *używał* rozumu. Do używania rozumu przychodzi się dopiero po czterdziestce.

— Pan się myli. Wielką rewolucję francuską robił dwudziestoczteroletni Saint-Juste, dwudziestoośmioletni Kamil Desmoulins i t. d.

— Pan uważa, że ci panowie «używali» rozumu? W takim razie nie zna pan historji. Byli to ludzie szlachetni, ale «nie używali rozumu».

— Byli genjalni!

— I na to się mogę zgodzić. Niektórzy między nimi byli genjalni, jak naprzykład Danton, ale zgubiło ich nieużywanie rozumu. Ba! Gdyby ci ludzie od początku używali rozumu, jak to robił starszy od nich Mirabeau, nie byliby poszli pod nóż gilotyny.

— I nie zrobiliby Wielkiej Rewolucji.

— Mirabeau robił rewolucję. Ale Mirabeau nie zachwycał się rewolucją. Kamil Desmoulins zginął przez rozpętanie tego nierozumu, który tkwi w każdej rewolucji, przez tę gwałtowność, którą sam rozniecił. Gdy spostrzegł, że źle uczynił, i kiedy to powiedział, ścięli go, jako... umiarkowanego. Być umiarkowanym znaczy, w oczach rewolucji, być zdrajcą. Właśnie zaczynał używać rozumu, kiedy własny jego nierozum, reprezentowany po doktrynersku przez funkcjonarjuszów rewolucyjnych, zgładził go jako wyrodka. Kromwell umarł w łóżku śmiercią naturalną. Bo Kromwell robił rewolucję, przekroczywszy czterdziestkę. Naturalną śmiercią umarł pięćdziesięcioletni Lenin.

— Zbyt długa dygresja.

— Ma pan słuszność. Pozwoliłem sobie na nią jedynie dlatego, że chciałem się dowiedzieć, co pan nazywa «najmłodszem pokoleniem, używającem rozumu». Otóż muszę panu powiedzieć, że według mojej definicji «najmłodsze pokolenie, używające rozumu», nie zachwyca się Claudelem, który nie zachwyca się używaniem rozumu.

— Jakto? Claudel, ambasador francuski...

— Claudel ambasador używa rozumu, ale Claudel filozof i poeta — to zupełnie co innego. Ten drugi Claudel zachwyca się wiarą, ślepą wiarą. W tym dualizmie Claudela dużo jest... pikanterji: w godzinach biurowych Claudel używa rozumu, a od godziny trzeciej popołudniu — ślepej wiary.

— Jak pan widzi, jedno nie przeszkadza drugiemu.

— Nie przeszkadza dzięki podziałowi tych funkcyj według zegarka, bo jednocześnie używać ślepej wiary i rozumu niepodobna.

— Claudel jest artystą.

— I niewierzący Anatol France jest artystą.

— France się skończył.

— Według pana z France'em skończyła się na tej ziemi niewiara?

— Bądź co bądź, cała młodzież idzie za wierzącym Claudelem.

— Która, która młodzież?

— Dzisiejsza.

— Ta młodzież, która jest poprostu młodzieżą!

— Poprostu?

— Tak, poprostu!

— Zwrócę uwagę pańską na bardzo zwyczajne i bardzo powszechne zjawisko, mianowicie, że młodzież zawsze zaczyna od wiary. Jest to niejako prawo biologiczne. Wątpienie zaczyna się później. Pan mówi, że Claudel to pisarz przyszłości. A mnie się zdaje, że jest to pisarz młodzieży, która jeszcze nie przyszła do używania rozumu i pisarz dewotek, które nigdy nie przyjdą do używania rozumu.

— Pan zaryzykował przed chwilą mocniejsze powiedzenie.

— Jakie?

— Że Claudel jest pisarzem przeszłości.

— Claudel jest pisarzem katolickim, a katolicyzm, jak panu wiadomo, sięga daleko w przeszłość, istnieje niemal dwa tysiące lat. Wspaniała ideologja katolicka, którą promieniuje twórczość Claudela, należy do ideologji sędziwych. Tymczasem pańskiej młodzieży się wydaje, że Claudel odkrywa nieznane dotąd światy, jakieś olśniewające nowości. Nazywa pan Claudela pisarzem jutra. Ależ, szanowny panie, nazwaćby go raczej wypadało pisarzem dnia wczorajszego, gdy pan, zapominając o historji, mianuje go prekursorem. Claudel, jako ideolog, to epigon. Epigon nie może być prekursorem, jak ogon nie może być nosem.

— Jednak ja się obracam śród młodzieży i wiem co ona myśli o Claudelu.

— Tu w stolicy? Ja również obcuję z młodzieżą i mogę pana zapewnić, że popularność Claudela w Warszawie jest minimalna. Przepadają za nim ci, którzy go znają tylko z nazwiska, a takich, którzy go czytali jest bardzo niewielu. Claudel należy do pisarzy nudnych.

— Może on i jest trochę nudny, ale jest on również bardzo modny. A być pisarzem modnym to coś znaczy. W Berlinie, pan wie, grali teraz Claudela, a Berlin dyktuje modę literacką na całą Europę. W Berlinie drukuje się rocznie najwięcej książek na świecie. Pan wie?

— Drukowanie największej ilości książek nie oznacza jeszcze największej kultury. Anglja i Francja znacznie mniej książek wydają rocznie, niż Niemcy, ale obydwa te narody są o wiele kulturalniejsze, niż Niemcy. Może pan temu zaprzeczy?

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dalszego ciągu tej rozmowy nie słyszałem, ponieważ rozmawiający przenieśli się na kanapkę, którą opuściła pewna chłopczyca o rzęsach tak wyczernionych, że aż miło było patrzeć... w inną stronę.

«CIOTKA KAROLA»,

krotochwila w 3-ch aktach Braudona Thomasa w Teatrze Letnim. Reżyserował dyr. Chaberski.



U góry: Brydziński, Ćwiklińska i Różycki w komedji „Niebieski lis"



Akcja sztuki toczy się dookoła postaci psotnego studenta, udającego «Ciotkę Karola». Operując zręcznie tą postacią, autor wytworzył szereg przekomicznych sytuacyj, zakończył zaś sztukę happy-end'em z potrójnem małżeństwem.

Fot. J. Malarski

Niewiele jest w literaturze teatralnej dzieł równie popularnych i ogranych jak «Ciotka Karola». Grywana przez zespoły zawodowe i amatorskie, «Charley's Aunt» prawie nie schodzi z afisza teatralnego w swej ojczyźnie — Anglji.

Teatr Letni, wystawiając tę komedję miał na celu jedynie utrzymanie frekwencji w okresie ogórkowym — premjera pozbawiona była uroku nowości artystycznej.



U dołu: ostatnia scena III-go aktu „Ciotki Karola"

Popisową rolę «Ciotki Karola» powierzono Kurnakowiczowi. Młody aktor dał sylwetkę żywą i barwną.

Pozostałe role otrzymały obsadę niejednolitą. Poza kilku aktorami cenionymi i popularnymi, widzieliśmy młodzież aktorską, zdradzającą minimalne obycie ze sceną i nikłe pozory talentu.

W epizodach najlepsi: Orwid i Justjan oraz pełen wigoru Hnydziński. Kobiece role, z wyjątkiem «Ciotki Karola», obsadzone i zagrane słabo.

Wytrawny reżyser dyr. Chaberski wniósł sporo nowych akcentów do starej sztuki, dał widowisko beztroskie i wesołe.

BRUNO WINAWER

PREMJERA I TREMA

Kodeks towarzyski istnieje od kilkunastu wieków i przewiduje doprawdy najtrudniejsze wypadki. Nieznany prawodawca ustalił ściśle, w jakiej marynarce należy się wybrać na pierwsze posiedzenie zjazdu «Pen-klubów», kiedy można włożyć «lakiery» do pasiastych spodni, kiedy białą kamizelkę do smokinga, w co i jak należy całować podczas deszczu starszą damę, która ma na rękach mokre rękawiczki, o jakiej porze dnia bierzemy ślub we fraku i kiedy w żakiecie, jak długo trwa wizyta ceremonjalna, w jakich okolicznościach gospodarz ma prawo powiedzieć gościowi: «albo pan wyjdzie w piki, albo precz z mego domu», czyje nazwisko trzeba wymienić najpierw przy prezentacji, kiedy regulujemy długi karciane, kiedy honorowe, a kiedy wekslowe i po czyjej stronie stajemy w niezwykle skomplikowanej awanturze kawiarnianej: młoda, zadzierzysta kobieta samotna trzasnęła w papę starszego siwego pana... Powstała literatura specjalna, jedni postępują według Boziewicza, inni podług innego rytuału.

I w jednym tylko fatalnym przypadku wszystkie prawa, przepisy, paragrafy, kodeksy, zasady bon-ton'u i nakazy savoir-vivre'u puszczają człowieka samopas na burzliwe wody, bez kompasu, bez latarni morskiej... Nikt się nad tą kwestją nie zastanawia, nikt nieszczęśnikowi dobrej rady nie da...

Co ma robić „autor" w dniu premjery???

Podobno znakomity Franciszek Molnar zdejmuje marynarkę, kładzie bluzę i sam własnoręcznie ustawia dekoracje do pierwszego aktu swojej sztuki.

Ale takich, co sobie nawzajem przeszkadzają w ustawianiu dekoracyj, jest w naszych teatrach miejskich cały legjon i na jednego jeszcze amatora — z ulicy — niema poprostu miejsca. To na nic.

Dobry jest system nieboszczyka Sardou: siedzieć w kawiarni «naprzeciwko», pić jedną kawę za drugą i... czekać, jaki tam wyrok zapadnie.

Ale niektórzy oburzają się na tę metodę i powiadają: fe! nieładnie. Inżynier kolejowy — mówią — nie tchórzy, siada obok maszynisty i przejeżdża sam, osobiście, w pociągu towarowym przez most, który zbudował. Kapitan przedziurawionego okrętu stoi pod masztem, nie opuszcza statku, idzie na dno razem ze starem pudłem.

Oba porównania, jak wszystkie porównania, szwankują strasznie i kuleją.

Inżynier, który przejeżdża przez nowy most, robi to w pewnym celu: chce pokazać ludziom, że zbudował mocne arkady, że pasażerom kolejowym nic nie grozi. Niema obawy! Nie bójcie się! Wytrzyma!

Ale to, że autor dramatyczny siedzi w krzesłach, wcale nie dowodzi, że jego sztuka jest mocna. Przeciwnie—może się nagle zawalić w połowie trzeciego aktu i nie wytrzymać. Co wtedy?

Siedzieć dalej, trwać niezłomnie, jak kapitan tonącego statku, i wskazywać przerażonym tłumom palcem drogę do szatni? Wołać donośnym głosem: Hola! Najpierw odbierają palta kobiety i dzieci, później mężczyźni w sile wieku! Stać, bo strzelam!

Nonsens.

Więc co? Ukryć się za kulisami, straszyć aktorów, mechaników, reżysera, inspicjenta blado-zieloną twarzą i czekać aż ktoś ponurego delikwenta wyciągnie na scenę, na widok publiczny?

W pewnem piśmie zagranicznem czytałem taki dowcip, może niewyszukany, ale trafny.

— Jak dotąd w tej komedji niema *nic śmiesznego* — skarży się wytworna dama w loży pierwszego piętra.

— Czekajmy, chwileczka! Podobno pod koniec drugiego aktu mają publiczności pokazać... autora!

Nie. Rozważyłem sprawę dokładnie i kiedy moją sztukę wystawiają w Warszawie — staram się natychmiast o zagraniczny paszport ulgowy.

Jeżeli mnie nie stać na wyjazd dalszy, kupuję abonament tramwajowy i w dniu premjery objeżdżam miasto zerem piętnaście razy dookoła.

Poznaję przy tej okazji stolicę kraju, w której się urodziłem.

Czasem trema zapędza mnie do odludnej kawiarni. Czytam pisma od deski do deski, od artykułu wstępnego do krzyżówki i uczę się napamięć «spisu abonentów warszawskiej sieci telefonicznej» z roku 1928. Są bardzo ciekawe nazwiska na świecie i właściwie do każdego rzeczownika najpospolitszego przyznaje się jakaś większa rodzina. Chociaż — w ostatnich czasach — ludzie rzucili się na czasowniki i przywłaszczyli sobie niektóre czasy przeszłe (Musiał) i niektóre tryby rozkazujące (Lataj, Łapaj, Dolej)... Nie chcę tu nikogo urazić, ale gdyby to ode mnie zależało, wprowadziłbym w tej dziedzinie poważne reformy. Dlaczego całe gromady chwytają się, jak pijany płotu, jakiegoś przymiotnika (np. kowalski), a inne — równie zajmujące — formy gramatyczne, imiesłowy, zaimki, leżą odłogiem? Dlaczego nikt nie nazywa się Zważywszy, Aczkolwiek, albo np. Reasumując?

Takie głębokie zagadnienia rozstrzygam w chwili, kiedy w Teatrze Narodowym inspicjent nosowym głosem zapowiada:

Zaczy-namy! Trze-eci akt! Pan Skarzyński, pan Orwid, pani Jarszewska!

Dlaczego ani psychoanaliza, ani medycyna, ani psychotechnika nic nie mówią o «tremie»? Dlaczego ja — skromny obywatel i człowiek prywatny — muszę się sam temi sprawami zajmować? Dlaczego fachowcy w pocie czoła szukają środka na chorobę morską, na obawę przestrzeni, na licho wie, co jeszcze, a o biednym autorze dramatycznym nikt na świecie nie myśli?

Normalny powieściopisarz, krytyk, poeta, filozof, publicysta, historyk rzuca grubaśne tomiska na rynek, znajomi je chwalą, albo nie (przeważnie nie), recenzenci o nich piszą, albo nie (przeważnie nie), wydawca płaci albo nie (przeważnie nie) — momentu jakiegoś wielkiego wstrząsu nerwowego nikt tu nie przeżywa. Ani autor, ani czytelnik.

Normalny feljeton w piśmie ma sens, albo — jak ten naprzykład — nie ma sensu. Wtedy ludzie ziewają, mówią: trudno, nie udało się. I spokój!

Dlaczego w teatrze gwiżdżą na kluczach i ciskają «zgniłemi jabłkami»?

Nie wiem.

Wiem tylko, że ze wszystkich stworzeń nieboskich, zaczerniających papier atramentem, jeden autor dramatyczny — ma tremę.

Prawdopodobnie pisywanie komedyj jest jednem z najnienaturalniejszych zajęć, jakie dorosły człowiek wybrać sobie może.

I w tem sęk właśnie.

CUDZE CHWALICIE, SWEGO NIE ZNACIE...

Rzucone hasło popierania wytwórczości krajowej, odbiło się głośnem echem. Do apelu stanęła elita naszych pięknych pań, które przeprowadziły wielką propagandę t. zw. krajowych perkalików.



Pani D-rowa O. Elektorowiczowa. Komplet popołudniowy — suknia, żakiecik i kapelusz z markizety, ze sztucznego jedwabiu





Pani Redaktorowa Zdzisławowa Kleszczyńska — suknia wieczrowa skrojona w linjach greckich z liljowego kreponu

Fot. Dorys

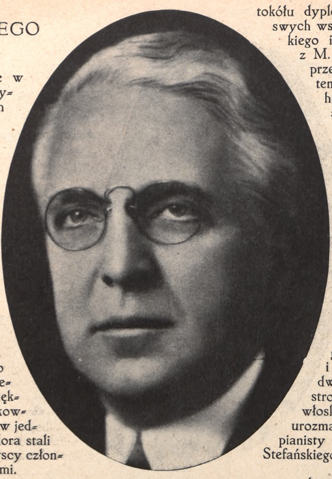
Pani Halina Rzewuska. Suknia balowa z kremowego bawełnianego tiulu, przybrana pękiem polnych kwiatów

H. L.

Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO STOLICY

Tak się dziwnie złożyło, że w miesiącach letnich, gdy zazwyczaj życie towarzyskie, w sensie wielkich przyjęć i rautów, już zamiera, tym razem pozostało nadal ożywione. Jest to, oczywiście, przypadkowy zbieg okoliczności.

Ponieważ właśnie przybył do Warszawy pierwszy ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie p. John North Willys, mieliśmy wielkie uroczyste przyjęcie w apartamentach świeżo przybyłego ambasadora. Jest bowiem w zwyczaju, że przybywający ambasador zawiadamia wszystkich, z którymi pragnie się komunikować, iż podwoje jego apartamentów się otwierają. Przyjęcie to odbywa się zazwyczaj z wielkim ceremonjałem. Tak więc było i tym razem. P. Willys, który zamieszkał, jak wiadomo, w muzealnie pięknym pałacu hr. Potockich na Krakowskiem Przedmieściu, oczekiwał gości w jednej z sal pałacowych. Obok ambasadora stali w szeregu: jego małżonka oraz wszyscy członkowie ambasady wraz z małżonkami. Przybywający goście wchodzili pojedyńczo do sali recepcyjnej. Tu przedstawiał ich ambasadorowi dyrektor protokółu dyplomatycznego hr. Romer w asyście swych współpracowników: R. hr. Przeździeckiego i Wehra oraz mjr. Próchnickiego z M. S. Wojsk. Następnie ambasador przedstawiał gości swej małżonce, potem zaś goście wymieniali «shakehands» z poszczególnymi członkami ambasady.



Jego Ekscelencja Mr. John North Willys, pierwszy ambasador Stanów Zjednoczonych A. P. w Polsce

Podziwiano z zachwytem piękne apartamenty ambasadora, zamieszkałego wśród historycznych zbiorów, gromadzonych wiekami przez hr. Potockich. Są tu wspaniałe portrety rodowe, niezmiernie wartościowe obrazy i rzeźby oraz porcelany i srebra, bogate zbiory myśliwskie, pełne trofeów egzotycznych, oraz olbrzymia bibljoteka, zawierająca niemało «białych kruków».

* * *

Z okazji pobytu w Warszawie włoskiego ministra spraw zagranicznych, p. Dino Grandi'ego i jego małżonki, wydane zostały dwa wspaniałe rauty u p. p. ministrostwa Zaleskich oraz w ambasadzie włoskiej. Raut u p. p. Zaleskich był urozmaicony piękną grą młodziutkiego pianisty krakowskiego 12-letniego Tadzia Stefańskiego, ucznia prof. Krzyształowicza. Wspomniane przyjęcia zgromadziły przedstawicieli rządu, dyplomacji, duchowieństwa, wojskowości, sfer artystycznych, dziennikarskich i towarzyskich.

Z POSELSTWA BUŁGARSKIEGO



Pani Aleksandra Robew, małżonka ministra pełnomocnego Bułgarji

Bardzo interesująca była wieczornica muzyczna w poselstwie bułgarskiem z okazji gościnnych występów primadonny opery sofijskiej, p. Miłkowej-Zołotowicz w tearze Wielkim. Znakomita śpiewaczka, przystrojona w bułgarski kostjum narodowy, wykonała szereg pieśni bułgarskich i włoskich przy akompanjamencie dyr. Tadeusza Mazurkiewicza.

Wśród zaproszonych gości obecni byli: ambasador włoski hr. Martin-Franklin z małżonką, poseł belgijski de l'Escaille z mał-



Panna Natasza Robew, córka ministra pełnomocnego Bułgarji

żonką, małżonka posła duńskiego pani Wulfsberg-Höst, poseł grecki Lagudakis, poseł jugosłowiański Lazarewicz oraz chargés d'affaires: argentyński—Caballero z małżonką i rumuński—Davidescu. Ponadto z ambasady: włoskiej — attaché wojskowy płk. Roatta, z angielskiej—sekr. Johnstone, a z poselstw: niemieckiego—radca von Rintelen i sekr. hr. du Moulin-Eckart, hiszpańskiego — sekr. Munsy Andreu z małżonką oraz Muguiro y Bierad, czesko-słowackiego—sekr. Lom i Trzebicky i greckiego — sekr. Almanachos. Z uczestników ekipy włoskiej, przybyłej na konkursy hippiczne: płk. Pacini i por. Bruni. Z dyplomacji polskiej: nowomianowany poseł Rzeczypospolitej w Sofji — Tarnowski z małżonką oraz z M. S. Z. pp.: nacz. Chrzanowski z małżonką, Andrycz, Bodeński, Starzewski z małżonką i Woytkowski. Ponadto pp.: prof. Błędowski z małżonką, dyr. Chojnacki, prez. Gorłow z małżonką i córką, Karszo-Siedlewska, Kacprowski z małżonką, prez. Lednicki, red. Liński, pos. dyr. Mazurkiewicz z małżonką, Obrębski, dyr. Pawlikiewicz z małżonką, Podhorska-Okołów, dyr. Stermich - Valcrociata z małżonką, prof. Turczyński z małżonką, Zembrzuska i Żółtowska.

Czyniącym honory domu pp. ministrostwu Robew wraz z córką (przybraną w malowniczy bułgarski strój narodowy) serdecznie dziękowano za sprawienie pięknej uczty artystycznej.



W kościele św. Antoniego w Warszawie, odbył się ślub córki Ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego — Marji Zamoyskiej z p. Stanisławem hr. Zamoyskim



Znakomita artystka teatru „Morskie Oko", p. Loda Halama poślubiła Hr. Andrzeja Dembińskiego



W kościele ks. Karmelitów w Warszawie odbył się ślub hr. Jadwigi Rzewuskiej z hr. Feliksem Tyszkiewiczem-Łąckim



WELL.

PANI TAŃCZY

Wytworna pani tańczy zawsze i wszędzie. W sali restauracyjnej i na tarasie kawiarni. Podczas campingu i na plaży. Nie tańczyć, znaczy przyznać się do wieku — którego pani wytworna mieć nie może. To znaczy, zrezygnować, poddać się... Fi donc... Taniec jest najzdrowszą i najestetyczniejszą z gimnastyk. Taniec zapobiega tyciu — tej pladze, czyhającej na kobietę na wszystkich zakrętach życia.

Pewien nauczyciel tańca dowodził nawet, że taniec jest jedynym, dopuszczalnym ruchem dla kobiety wytwornej, bowiem, jak twierdził «od chodzenia nogi robią się krzywe». Osobiście uważam, że cokolwiek przeholował, ale były uczennice, co mu uwierzyły i z namaszczeniem urbi et orbi głosiły słowa mistrza.

W tegorocznym zielonym karnawale, niezmiernie ożywionym, tańczono przeważnie pod znakiem samowystarczalności, na perkalikowo. Tak się to przynajmniej nazywało, nikt nie brał tej perkalikowości zbyt dosłownie. Starano się jednak ograniczać do zakresu wyrobów krajowych i niektóre panie dokazały cudów inwencji, kreując z najprostszych i najtańszych materjałów prześliczne toalety wieczorowe. Czynnie i balowo popierały samowystarczalność: Rodzina Wojskowa, Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet oraz Koło Polek. Ze wszystkich uroczych niewieścich postaci, spowitych w sztuczny jedwab i bawełnę, najmocniej utkwiła mi w pamięci giętka sylwetka ślicznej pani Marji Krąkowskiej, spowitej w suknię-motyla z bladoniebieskiej, krajowej żorżety. Zdobiły ją jedynie żywe liljowe orchidee, przypięte na linji stanu. Dół sukni był równy, szczegół niezmiernie charakterystyczny dla mody, która nadchodzi, mody jutra.

Wszystkie wieczorowe toalety charakteryzuje szlachetna prostota. Znikła kapryśna asymetrja dołów. Fantazyjne godety coraz częściej ustępują miejsca fałdom, opadającym równo i miękko, jak antyczne draperje. Nawet tkaniny wzorzyste, w samem założeniu dość pstre i jaskrawe, podlegają ściszeniu i stonowaniu wskutek wyszukanie harmonijnej prostoty linji. Wieczorowe toalety współczesne zdają się być stworzone do walca, bluesa i tanga. Skoczne charlestone'y, i black-bottom'y są w nich nie do pomyślenia.

Kobieta w balowej sukni odzyskuje dystyngcję i majestat, cechy, których pozbawiła ją doszczętnie «kusa moda». Wspaniałe draperje wieczorowych capes, podnoszą jeszcze bardziej majestatyczny urok powłóczystych szat. Moda długich wieczorowych rękawiczek zdaje się nam wróżyć powrót wykwintnych manier. Przynajmniej wieczorem, chociażby tylko do galowego stroju. Ha, cóż? Dobre i to.

Już po południu, na miejsce niedostępnej księżniczki dalekiej, spowitej w tajemnicze obłoki mglistych chiffon'ów i pajęczych koronek, mężczyzna odnajduje wesołego, miłego kompana w krótkiej, bezpretensjonalnej sukience. Towarzyszkę wszystkich wycieczek, równouprawnionego partnera sporów.

Popołudniu, rzecz oczywista, też się tańczy, nawet jeszcze weselej, bez tego specjalnego namaszczenia, jakie stwarza uroczysta szata wieczorowa. Bardziej sportowo, poprostu, po koleżeńsku.

Nietylko u nas, lecz i zagranicą, modne są latem tkaniny bawełniane: przejrzysta organdyna, dająca się tak wdzięcznie wypracowywać w tysiączne, drobniuchne zakładeczki, płótna gładkie o pastelowych odcieniach i płócienka w szkockie kratki i paski, oraz pika, prawdziwa faworytka sezonu, której drobne prążki, układane w coraz innym kierunku, tworzą przedziwną mozaikę, tryumf i arcydzieło artystów nożyc i igły.

Nosi się również po południu suknie jedwabne z jedwabi lekkich i cięższych. Ale i tu istota elegancji polega na prostocie, trudnej do uchwycenia, niemożliwej do skopjowania, mądrze wystudjowanej prostocie. Im kosztowniejszy materjał, tem mniej skomplikowana linja. Żadnych głupiutkich ogonków śmiesznie wiszących z pod okrycia. To szczyt prowincjonalizmu. Równa suknia, dochodząca conajmniej do pół łydki, lub niżej. Zeszłoroczne sukienczyny do kolan budzą obecnie śmiech i politowanie. Na tegorocznych wyścigach w Ascot wszystkie angielskie ladies wystąpiły w sukniach do pięt. Niektóre z nich literalnie zamiatały taftowemi riuszami piasek toru. Wszelka przesada jest niefortunna. No, ale królowa Mary, zawsze tak szczerze nie znosiła kusej mody, tak systematycznie tępiła ją w życiu dworskiem, iż nic dziwnego, że obecnie, skoro moda pozwala, panie z high-life'u prześcigają się w długości sukien, aby się przypodobać konserwatywnej monarchini.



I u nas na reprezentacyjne garden party's (więcej mieliśmy pono tego lata ogrodowych zabaw, niż posiadamy ogrodów) nosi się suknie długie, solidnie długie. A do nich olbrzymie, cieniste, choć ażurowe, twarzowe kapelusze z egzotycznych słomek, koronkowego włosia i pikowanej tafty (ostatnia nowość).

Duże kapelusze nosi się tego lata

i do sukien z prawdziwego zdarzenia, sukien rozsądnie krótkich (25 cm. od ziemi) wygodnie szerokich, jakie przepisuje nam wielce łaskawa Pani Moda na dzień powszedni.

Na dni niezbyt upalne mamy prześliczne komplety z wełnianej żorżety, w ogromnie urozmaiconej gamie kolorów: granatowo-szafirowo-błękitnych, brunatno-rdzawo-złocistych i zielonych: od naciemniejszej zieleni nurtu do najjaśniejszej barwy niedojrzałej cytryny, zwanej popularnie «banana».

Takie komplety składają się zazwyczaj ze spódniczki, żakietu i bluzki, przyczem bluzka bywa przeważnie zrobiona z żorżety jedwabnej i w kolorze od całości odmiennym, albo też z sukni i kamizelki bez rękawów.

Taka kamizelka ślicznie wygląda noszona do jasnych sukienek typu chemisier, z rękawami lub bez. Boczne kieszonki, w które można wsadzić obie ręce, nadają jej charakter sportowo-nonszalancki. Ładną nowością jest długa, kloszowa pelerynka, zaczynająca się wąsko przy szyi i rozszerzająca się w dole pleców. Pelerynki są naogół bardzo modne. Każdej sukience nadają charakter wykończony i spacerowy, ale źle zrobione wyglądają prowincjonalnie i pretensjonalnie, przytem, przeważnie poszerzają.

A nie poto pani tańczy w srogim pocie czoła swego dansera, aby te kilka z trudem utraconych centymetrów miała jej dodać lekkomyślnie skrojona pelerynka. Strzeżmy się tedy pelerynek i wszystkiego co pogrubia i postarza: ciężkiej strawy, nudnych ludzi, małżeństwa z rozsądku, licznego potomstwa i t. p.

Pani tańczy, aby zachować wieczną młodość. Nie wątpię, że się to Pani uda. Może nie do tak tragicznych granic, jak słynnej Ninon de Lenclos, której własny wnuk przebił się szpadą na wieść, że ubóstwiana piękność jest jego rodzoną babką. Nie należy przesadzać w niczem i nigdy, jak już stwierdziliśmy powyżej. Miejmy nadzieję, że tańczącej Pani uda się pozostać wiecznie młodą w granicach przyjemności własnej i cudzej.







IX RAJD A. P.

Niełatwo jest jednym rzutem oka i pióra objąć całą mnogość i różnobarwność wrażeń, jakich dostarcza uczestnikowi największa doroczna impreza Automobilklubu Polski. Przecież już same impresje turystyczne dałyby przeobfity materjał do cyklu feljetonów krajoznawczych.

Nas jednak w największym stopniu interesowało to ciało zbiorowe, zwane raidem, mknące szybko przez drogi i bezdroża Rzeczypospolitej do jednego upragnionego celu — zwycięstwa. Całą uwagę pochniała najczęściej wązka taśma drogi albo też gęsty kurz, za którym kryła się maszyna współzawodnika.

Układając marszrutę raidu, kierownictwo wyszło ze słusznego założenia, iż w Polsce samochód musi chodzić nietylko na drogach bitych, lecz i gruntowych. W tym celu na drugim etapie, pomiędzy Wilnem a Nieświeżem trasa na przestrzeni blisko 200 klm. biegła drogami gruntowemi, przeważnie mocno piaszczystemi. Jeszcze przed kilku laty podobny etap byłby przyczyną «wykończenia się» szeregu maszyn. W tym roku maszyny minęły groźny etap prawie bez incydentów i zupełnie bez punktów karnych. Jakże szybko musi postępować technika budowy samochodów, skoro nawet po rasowych polskich drogach mogą one kursować bezkarnie.

Zmieniona w bieżącym roku klasyfikacja maszyn dała interesujący plon spostrzeżeń, ciekawych nietylko z punktu widzenia sportowego, lecz handlowego. Poraz pierwszy zastosowano w Polsce system podziału maszyn na kategorje, w zależności od ceny rynkowej.

W pierwszej kategorji popularnej (cena podwozia z najtańszą, seryjną karoserją do 1.500 dolarów) poszły na raid dwa Fordy i cztery Citroëny.

Większość nagród w pierwszej kategorji zdobył p. Bitny—Szlacha na Fordzie, uzyskując najlepszą sumę punktów dodatnich pośród wszystkich zawodników.

Z pośród Citroënów zwyciężył Dzierliński. Wytrawny ten kierowca przebył cały raid bez punktu karnego i poza srebrnym puharem zdobył cenną nagrodę p. Ministra Spraw Wojskowych za regularność oraz nagrodę Ministerstwa Robót Publicznych za najlepszy wynik — osiągnięty w raidzie bez uwzględnienia prób szybkości.

W kategorji drugiej — turystycznej zwycięstwo przypadło w udziale Fiatowi, prowadzonemu przez p. Rahnenfelda. Wóz ten wysunął się na czoło swej kategorji z pokaźną ilością punktów dodatnich. Przeciętną szybkość ustalił Rahnenfeld na 50 klm./godz., w istocie jednak znacznie ją przekraczał, nawet na trudnym, piaszczystym etapie Wilno — Nieśwież.

Czas osiągnięty przez Rahnenfelda w górskiej próbie szybkości — 3 min. 51 sek. jest wręcz doskonały dla tego typu podwozia i solidnej, komfortowej karoserji.

Następne miejsce w tej kategorji zdobyły Hudsony, których aspiracje szły przedewszystkiem w kierunku zdobycia nagrody teamowej. Nagroda ta nie jest łatwa do zdobycia. Wystarczy jeden punkt ujemny, chociażby z nawiązką wyrównany punktami dodatniemi, by cały zespół utracił prawo do nagrody.

Zespół jednak był zbyt dobrze przygotowany do raidu, by mu mogła zagrażać jakaś niespodzianka. Maszyny zostały doskonale wyposażone i przygotowane z niezwykłą skrupulatnością.

Prowadzili maszyny trzej wytrawni i zdolni kierowcy: inżynierowie Hahn, Krzeczkowski i Rychter.

Drugi team w tej samej kategorji wystawiła francuska fabryka «Renault». Trzy ciężkawe limuzyny, typu «Viwastella» były prowadzone przez zawodowych kierowców fabrycznych, szły regularnie i poważnie. W samym raidzie przeszły maszyny konkurs poprawnie, zdobywając gdzie się dało punkty dodatnie.

Osobno trzymał się w tej kategorji p. Krawczyk na 8-cylindrowej limuzinie «De Soto». Maszyna dobrze spełniła wszystkie warunki konkursu i p. Krawczyk uzyskał puhar bronzowy.

Kategorja trzecia — luksusowa, była terenem zaciekłej walki na punkty o mistrzostwo.

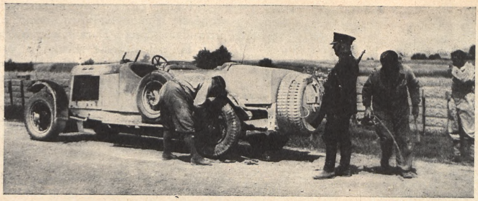
Już w pierwszym dniu raidu, po wyścigu płaskim, na czołowe miejsca wysunęły się rywalizujące ze sobą Daimlery Adama hr. Potockiego i inż. Liefeldta.

Na Tyrawie Wołoskiej Daimlery ponownie uzyskały czas o kilka sekund lepszy od swoich współzawodników. Do końca raidu prowadził A. Potocki przed Liefeldtem. Na wyścigu płaskim Liefeldt uzyskał najlepszą szybkość dnia (przeciętna 106 na dwuch kilometrach ze stojącego startu), wszakże w ostatecznym wyniku A. Potocki miał o 0,40 punktu dodatniego więcej od rywala.

Największą korzyść, zwycięstwo A. Potockiego nad Liefeldtem, przyniosło trzeciemu współzawodnikowi — Maurycemu hr. Potockiemu, który dzięki temu okazał się na pierwszem miejscu w rozgrywce o mistrzostwo Polski (drugie miejsce na wyścigu Łódzkim, drugie w Ojcowie i trzecie w Raidzie).

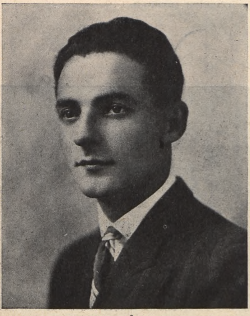


Nagroda teamowa przypadła w udziale Hudsonom, świetnie przygotowanym przez dyr. Łebkowskiego, a prowadzonym przez Inż. Richtera, Hahna i Krzeczkowskiego



Hr. Maurycy Potocki i jego potężny Voisin. Opony: Dunlop

Potężny, 6-cylindrowy Voisin M. Potockiego, przezwany w raidzie «lokomotywą» był postrachem całej kategorji. Jednak wolnoobrotowy silnik, mimo 6-litrowej pojemności cylindrów nie umożliwił rozwinięcia pełnej szybkości na krótkich dystansach wyścigów. Mimo wielkiej swej wagi, Voisin — wóz par excellence turystyczny, skutecznie konkurował ze sportowemi, szybkiemi Daimlerami, zagrażając stale ich pierwszym miejscom. Prawdziwą piętą Achillesa była karoserja tego samochodu. Zrobiona naprędce, specjalnie dla użytku raidowego, była obliczona na koła małego wymiaru, po założeniu większych kół ścinała w niebywały sposób opony, powodując tem nieustanne kłopoty kierowcy.



P. Maréchalle

Z trzeciego miejsca w tej kategorji zrezygnował p. Żochowski, jadący wraz z mechanikiem francuzem p. Marechalle na 8-cylindrowym Delage'u. Rasowa, silna maszyna szła przez wszystkie etapy bez defektów, utrzymując stale bardzo szybkie tempo jazdy, to też uzyskała nagrodę Maurycowej hr. Potockiej, za najwyższą przeciętną szybkość w raidzie.

Bieżący sezon automobilowy przyniósł poważne przesunięcia w stopniach popularności rozmaitych marek samochodowych. Najwięcej w tym kierunku zaawansowała oddawna w Polsce znana marka francuska Delage.

Dzięki niepospolitej sprężystości i ambicji sportowej reprezentanta tej marki, dyr. Jerzego Żochowskiego, Delage odniósł szereg sukcesów w imprezach organizowanych przez Automobilklub Polski oraz kluby afiljowane.

Najbardziej znamienne są wyniki, osiągnięte przez Delage'a w trzech kolejnych zjazdach gwiaździstych, wymagających wielkiej sprawności maszyn. Podczas zjazdu gwiaździstego do Łodzi p. Żochowski uzyskał maksymalną możliwą ilość punktów wraz z odpowiedniemi nagrodami.

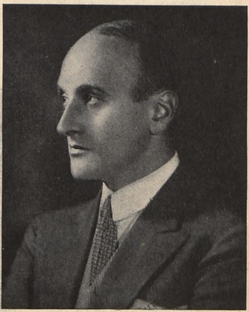


P. Jerzy Żochowski obok swego Delage'a tuż przed wyruszeniem na raid. Opony: Dunlop

Jadąc wraz z mechanikiem Marechalle na zjazd krakowski, p. Żochowski ustalił swego rodzaju rekord. Odległość 1346 kilometrów przebywa z szybkością przeciętną (łącznie z postojami) 76.6 klm. na godzinę — to wynik, o jaki pokusić się mogą tylko świetni kierowcy na doskonałej maszynie.

Trzeci zjazd — do Poznania, przyniósł również Żochowskiemu nagrody Automobilklubu Wielkopolski i Państw. Monopolu Spirytusowego za przestrzeń 1127 klm., przebytą w rekordowym czasie.

W raidzie Międzynarodowym A. P., p. Żochodwski otrzymał nagrodę za najwyższą szybkość przeciętną na całej przestrzeni raidu.



P. Jerzy Żochowski

Te dobrze zasłużone sukcesy utwierdziły wśród automobilistów przekonanie, iż Delage posiada wszystkie zalety, jakiemi rozporządzać powinien samochód turystyczny, użytkowany również do celów sportowych.

Precyzyjne wykonanie silnika, wyłącza konieczności reparacji w drodze, nawet przy najbardziej forsownych jazdach, natomiast elastyczna kierownica oszczędza wysiłek fizyczny kierowcy.

Harmonijne połączenie komfortu z szybkością — to zasadnicza cecha Delage'a, maszyny jednającej sobie coraz liczniejszych zwolenników w Polsce.

Podkreślić również wypada wyjątkową opieką, jaką otoczone są wszystkie samochody Delage, które z przedstawicielstwa tych wozów dostają się do rąk klijentów.

Wszystkie Delage, mają wyjątkowo piękne karoserje i «zapięte» są na ostatni guzik. Przedstawicielstwo Delage, nie zapomina o żadnym szczególe, jaki przydać się może w dłuższej podróży, dlatego też te par excellence turystyczne samochody wyekwipowane sa jak rzadko inne.

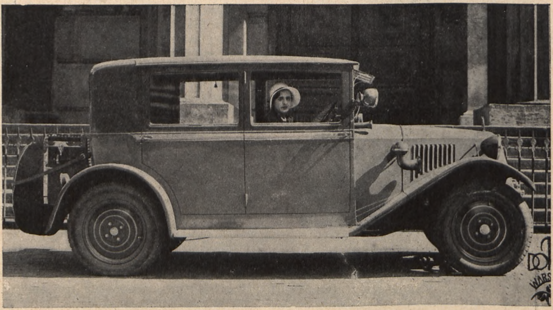
Piątem miejscem w luksusowej kategorji musiała zadowolić się ośmiocylindrowa Lancja, z wielką ambicją i werwą prowadzona przez D=ra Kwiatkowskiego z Krakowa.

Na zakończenie słówko o organizacji. Kierownictwo raidu, spoczywające w ręku komandora Regulskiego i wicekomandora Szydelskiego, przewidziało przebieg raidu we wszystkich szczegółach. Nie było w raidzie żadnych tarć lub niesnasek. Każda wątpliwość była rozstrzygana szybko i trafnie. Kluby ofiljowane wydatnie przyczyniły się do dobrego przebiegu raidu, czuwając nad przygotowaniem parków. Doskonale funkcjonowała służba informacyjna dzięki sprężystości sekretarza raidu p. J. Sekowskiego. Dobrze sprawili się również kontrolerzy pod wodzą inż. Zakrzewskiego. Największe uznanie zdobył sobie gospodarz raidu p. Ryszard Bormak, który nie jadł i nie spał w przeciągu tygodnia, dostarczał nam wszędzie wygodny nocleg, smaczną strawę i nawet karty do bridge'a. Jednego tylko nie potrafił uniknąć — «Polskiej Riwjery» w Gdyni. Miejmy jednak nadzieję, że do przyszłego raidu, idącego przez Gdynię, wybudują tam prawdziwy hotel z windą, bieżącą wodą, porządną restauracją i rzetelną obsługą.

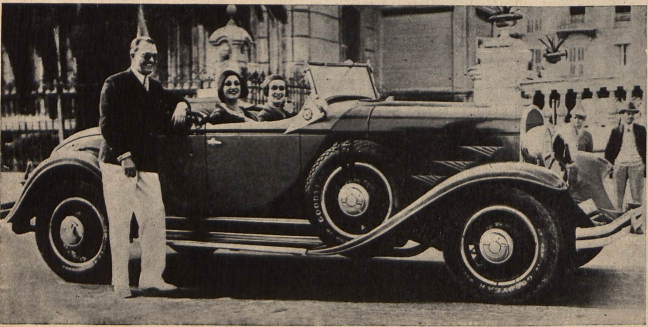


Pani Jadwiga ks. Puzyna

fot. Dorys



Dzielna automobilistka p. Alicja Gebethnerowa na swojej doskonałej „Tatrze"



Dziś już przysłowiowo piękne karoserje Chryslera zyskały jeszcze jedno potwierdzenie w postaci I nagrody, jaką na tegorocznym konkursie piękności samochodów w Nicei uzyskał obok przedstawiony Chrysler



Inż. Henryk Liefeld zdobył II nagrodę w ogólnej klasyfikacji

I ZNOWU AUSTRO-DAIMLER...

Do tegorocznego 9-go raidu Automobilklubu Polski, na przestrzeni zgórą 3.050 klm. wprowadzona została inowacja, a mianowicie: samochody w raidzie uczestniczące podzielone zostały na kategorje, według ceny sprzedażnej wozu. Samochody Austro-Daimler znalazły się więc w kategorji wozów luksusowych mając, jako konkurentów potężnego Delage'a i wielkiego — acz niezbyt groźnego Voisina.

Od początku raidu zapowiadała się bardzo zacięta walka. U kierownic dwóch rasowych Daimlerów zasiadły znakomitości: inżynier Henryk Liefeld i Adam hr. Potocki.

Już na starcie Daimlery wykazały swoją wysoką klasę, zyskując powszechne uznanie za piękny zryw i najlepszy czas w wyścigu płaskim, dwukilometrowym, który był jednocześnie początkiem raidu.



Wyjazd z pl. M. Piłsudskiego

Po długiej, wijącej się jak wąż trasie raidowej, widać znowu Daimlery w wyścigu górskim na Tyrawie Wołoskiej i znowu najlepszy czas uzyskał Austro-Daimler pod Liefeldem. Wreszcie powtórny wyścig płaski pod Raszynem znowu pierwsze miejsca zdobyte przez Daimlery.

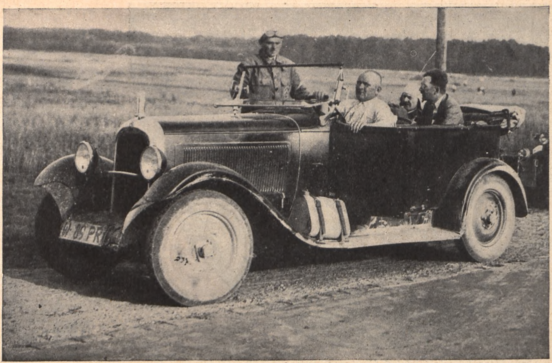
I nagrodę w kategorji wozów luksusowych, a więc wozów najlepszych uzyskał Adam hr. Potocki.

II nagrodę inż. Henryk Liefeld, obaj na Daimlerach.

I tak już nie wiedzieć po raz który z rzędu Daimlery zwyciężają w raidach, dając temsamem niekłamany dowód swoich wysokich zalet konstrukcyjnych i wytrzymałości.



Hr. Adam Potocki zdobył I nagrodę w klasyfikacji ogólnej



Ubiegły Raid Międzynarodowy był w kategorji popularnej najmocniej obsadzony przez Citroëny. Silne i szybkie wozy zdawały się być niezwyciężone w swojej kategorji, tembardziej, że zespół kierowców: Widawski, Ripper, Dzierliński i Cybulski — mógł sprostać najtrudniejszym wymaganiom.

Dążąc do osiągnięcia najlepszego wyniku, fabryka dokonała eksperymentu: do wozów raidowych założyła 4-biegowe skrzynki (normalny Citroën posiada trzy szybkości). Ponieważ obliczenie było wadliwe, sprzęgła nie wytrzymały nadmiernej pracy i uległy w dwóch maszynach defektom. Dwie maszyny jednak ukończyły raid, zaś Dzierliński uzyskał srebrny puhar A. P. i wielce cenną nagrodę p. Ministra Spraw Wojskowych, za regularność jazdy.



P. Dzierliński

Częściowy sukces Citroëna w raidzie nie zmniejszył bynajmniej popularności tej marki na rynku polskim.

Automobiliści zrozumieli istotną przyczynę defektów w raidzie i nie przwiązują do nich wielkiej wagi. Citroën, uważany dotąd za praktyczną i estetyczną maszynę użytkową, zachował tę opinję nadal.

Popyt na Citroëny ostatnio nawet wzrósł, albowiem dzięki założeniu fabryki montażowej w kraju, cena maszyn została wydatnie zmniejszona. Zaznaczyć przytem należy, że karoserje Citroënów, budowane obecnie w kraju, są niemniej estetyczne i bardziej trwałe od oryginalnych francuskich. Polskie karoserje Citroënów posiadają specjalne umocnienia, zapewniające lepszą konserwację wozów w polskich warunkach drogowych.





p. J. Piotrowski

Ford



p. M. Bitny-Szlachta

Przed rozpoczęciem tegorocznego raidu Automobilklubu Polski, wielką sensacją była zapowiedź udziału samochodów «Ford».

Fordy istotnie stanęły do raidu i... odniosły nadzwyczajne zwycięstwo!

Gdyby można było zadać pytanie: kto wygrał raid, trzeba byłoby odpowiedzieć: samochody «FORD». Wozy te nietylko z łatwością przeszły wielką, bo przeszło 3134 klm. wynoszącą, trasę bez żadnego defektu, ale zyskały największą (pojedyńczy wóz Ford Nr. 1) z pośród wszystkich uczestników raidu, ilość punktów dodatnich, bijąc w ten sposób najlepsze nawet i najdroższe wozy.

Zwycięstwo Fordów jest tembardziej znamienne, iż były to wozy ściśle seryjne, z których jeden przed wyjazdem na raid przez nieoględność szofera uległ wypadkowi. Silnie skonstruowany «FORD» nietylko nie poniósł od wypadku tego żadnego szwanku, ale poszedł na raid, w którym za świetnie przebytą trasę uzyskał największą ilość punktów 65,63 dodatnich.



Nagrody zdobyte przez samochód „Ford"

Zwycięstwo Forda jest tembardziej znamienne, iż obaj panowie: Michał Bitny-Szlachta i Janusz Piotrowski, acz bardzo dobrzy kierowcy, nie mogli jednak dorównać tym wielkim asom, jakie w tym roku zasiadły przy kierownicach wozów raidowych, jednakże w obecnym raidzie chlubnie zdali egzamin.

Fordy zarówno w wyścigu płaskim na szybkość, jak i w piachach dróg kresowych oraz w wyścigu górskim na Tyrawie Wołoskiej, okazały się jednakowo pewne i jednakowo niezawodne.

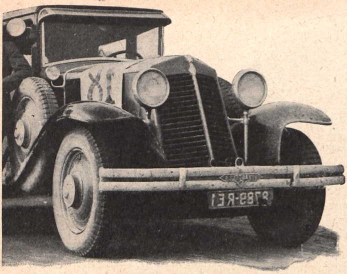
Zwycięstwo Fordów zrobiło wielkie wrażenie i niejednego skłoniło do odzywania się z wielkiem uznaniem i podziwem o tych wozach, ich konstrukcji, niezrównanej dobroci materjałów i taniości.



Zwycięskie Fordy w jednym z parków automobilowych, podczas raidu

ZASTĘPSTWO FORD MOTOR CY

„MOTOFORS" S. z O. O. KREDYTOWA 9, TEL.: 46-34, 46-24, 419-02.

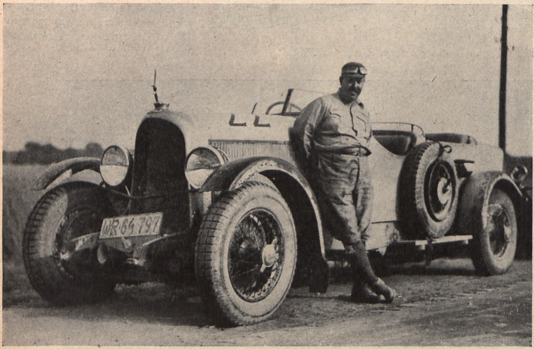


Renault na ovonach Dunlop



Delage na oponach Dunlop

w IX RAIDZIE AUTOMOBILOWYM

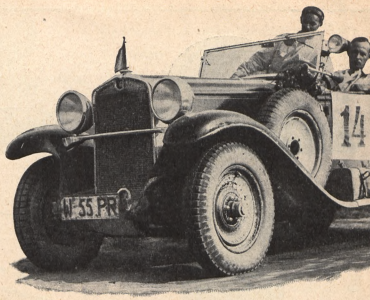


Voisin na oponach Dunlop

ZWYCIĘŻYŁ

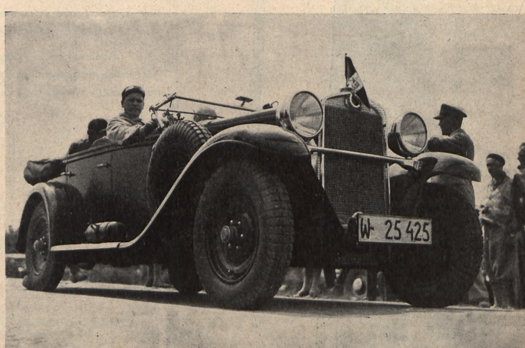


Hudson na oponach Dunlop



Fiat na oponach Dunlop

w IX RAIDZIE AUTOMOBILOWYM



Fia na oponach Dunlo

DUNLOP

WYCIECZKA SAMOCHODOWA



Wycieczka samochodem jest zarazem wycieczką w świat nieprzewidzianych zdarzeń. Może dlatego właśnie kobieta jest tak zapaloną automobilistką. Ale niespodzianki niespodziankami, a trzeba przecież coś niecoś przewidzieć. Nie wiadomo gdzie się możemy znaleźć «przy parowie, czy też w rowie», ale musimy zawsze pamiętać o tem, że wszędzie musimy się znaleźć stosownie... ubrane. Niewłaściwe ubranie jest to właściwie jedyna niewłaściwość, której kobiecie nie wybaczy najbardziej zakochany mężczyzna.

— Pani, piękna pani, uczmy się zawczasu pięknej, pogodnej rezygnacji. Na starość będzie, jak znalazł. A la guerre comme a la guerre, a w podróży, jak w podróży. Albo się jest sportsmenką, albo się nią nie jest. Malutka walizeczka musi zmieścić i drobiazgi toaletowe i króciuchne, pajęcze combinaison'y i nocną pyjamę i suknię, taką suknię którą wyczarował wielki czarodziej pan Poiret czy inny Patou, suknię, którąby wyglądała coraz to inaczej. Może to być sukienka z wzorzystej crêpe de chine'y dobra na dancing i zabawę ogrodową. Do tego zawijana spódniczka z gładkiego jedwabnego tussoru w jednym z kolorów deseniowej tkaniny. I żakiecik z tegoż tuszoru. Wieczorem gładki żakiecik na wzorzystej toalecie będzie spełniał obowiązki sortie. We dnie spódnizka zapina się na sukienke, z której zostaje widoczna tylko góra, czyli bluzka, mamy taką sobie sukienkę ranną. A gdy włożymy żakiet powstaje poprawny emsemble, very smart and correct, a w sam raz na lunch na tarasie wytwornego kasyna. Ostatecznie można jeszcze zabrać bluzeczkę z żorżety (to nie zabiera prawie wcale miejsca) na zmianę, może też luźny żorżetowy płaszczyk trois quart, lub fantazyjny, muślinowy cape.



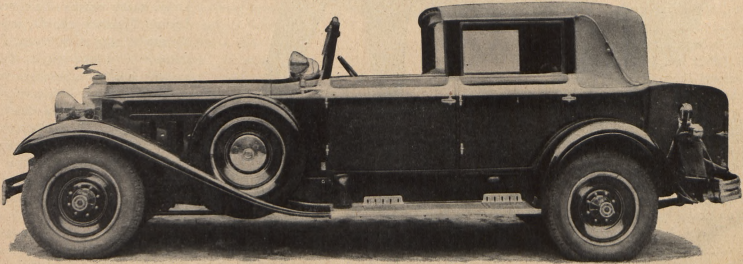
Obdarzona subtelną urodą p. Dalma Łukaszewicz, artystka filmowa. Fot. Van-Dyck

Miękki, drapowany beret, lub turbanik może się zmieścić nawet w jednej z obszernych kieszeni podróżnego płaszcza. Robi się je (berety, nie płaszcze) z takich idealnie elastycznych, nie gnących się słomek, albo z płótna o rzewnie pastelowych odcieniach. Może, może jeszcze zmieściłaby Pani walizka, sukienkę typu chemisier, z jedwabnego płótna. Toby było do tego płóciennego kapelusika. To jużby był i tenis i inne spacery. Ale już nic więcej Pani zabrać nie wolno. Boxeafl na niskich obcasach do samochodu, jakieś jasne, lekkie pantofelki pour tout aller w walizeczkę i nic więcej, absolutnie nic.

I już się nie martwić, już nie rozmyślać na temat, że przydałoby się jeszcze i to i tamto. Dobrze jest, jak jest. Pogoda sprzyja, humor też.

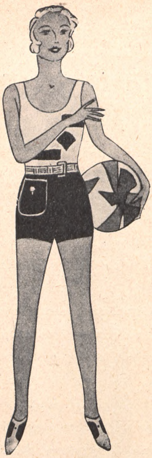
Zamykamy. Zapinamy. Wsiadamy. Odjeżdżamy.

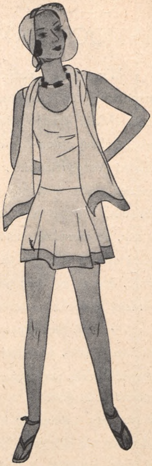
Życzę Pani szczęśliwej podróży z głębi mego dobrego, choć przepełnionego zazdrością serca. Cóż bo może być przyjemniejszego nad taką wycieczkę samochodem?????



Widzieliśmy wiele tandety wśród krajowych karoserji samochodowych. Z przyjemnością więc podkreślamy postęp w tej dziedzinie przemysłu rodzimego. Krajowa fabryka karoserji p. Flinikowskiego nie tylko wykonuje karoserje nie ustępujące zagranicznym ale nawet je przewyższa. Przedstawiony wyżej Packard, z karoserją Flinikowskiego, prześcignął wszystkie zagraniczne i uchodzi za najpiękniejszy w Polsce samochód.

W SŁOŃCU I W WODZIE





Przez cały rok, długi, okrągły rok dusimy się w zamkniętych lokalach, źle przewietrzonych biurach, dusznych, tłocznych kawiarniach, salach dancingowych, restauracyjnych, balowych... Aż wreszcie przychodzi bunt, protest, nagła potrzeba ucieczki.

— Nie, tak dalej nie można — powiadamy sobie, i uciekamy. Dokąd?



Jeżeli chodzi o jaknajwiększy kontrast z życiem wielkomiejskiem to najlepiej nad morze, albo na wieś. Ale na taką wieś, gdzieby była rzeka, jezioro... wogóle jakaś woda. Bo wypocząć, naprawdę wypocząć, można jedynie, spędzając wakacje w słońcu i w wodzie.

Jakież w słońcu i wodzie mogą być troski? Chyba troska o to, aby jaknajprędzej i jaknajpiękniej opalić się na wspaniały kolor bronzu lub rozgorzałej miedzi. Jakież cierpienie? Chyba ból oparzonej skóry, doraźna kara na zuchwalców, igrających zbyt śmiało z płomiennym żywiołem. Ale te straszne rany goją się przecie tak prędko, tak łatwo się o nich zapomina... Tak dalece łatwo, że przed końcem wakacyj można się jeszcze niejednokrotnie narazić na nowe.

Racjonalna gospodarka plażowo-toaletowa wyklucza w zasadzie wszelkie niemiłe przypadłości: oparzelizny, zaziębienia itp. Z faktu, że na plaży nosi się mało ubrania, nie należy wyciągać lekkomyślnie wniosku, że kwestja ubrania w wodzie i słońcu nie istnieje. Przeciwnie, jest nieskończenie ważna. Ma swoje żelazne, nie dające się bez srogich, natychmiastowych represyj złamać, prawa. Takiem prawem jest w pierwszym rzędzie w wodzie — trykot. Żadna fantazja z taftowych czy satynowych falbanek, żadne «suknie kąpielowe». Trykot. Możliwie obcisły, możliwie zwarty, trykot wełniany. Dekoltowany? O, jak najgłębiej. Trzeba, żeby możliwie największa porcja skóry korzystała z powietrza i słońca. Najdoskonalej daje się to uskutecznić w solarjach, niedostępnych oczom niedyskretnym, gdzie osoby jednej płci mogą się poddawać działaniu słonecznych promieni całkowicie, bez trykotów, nawet bez figowych listków.

Ale człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem i to wybrednem, obecność osób jednej z nim płci nie wystarcza mu na długo. Godzinka solarjum najwyżej, a po-



tem pośpiesza się na plażę wspólną. Tam obowiązuje coś znacznie trudniejszego niż wytworne ubrania, bowiem: poprawne rozebranie. A więc trykot dyskretnie dekoltowany z przodu i niemal nieograniczenie na placach. Misterna konstrukcja sznurków i tasiemek pozwala spuścić ramiączka, nie narażając się na zgubienie kostjumu. Zawsze najładniej wygląda trykot ciemny i gładki. Dopuszczalne ozdoby: wyhaftowane z lewej strony godło właścicielki i pasek z białej gumy.

Ostatnie wskazania higieny nakazują, opalając najintensywniej całe ciało, chronić przed blaskiem słonecznych promieni twarz, zwłaszcza oczy. Dobre są ciemne okulary, ale takie brzydkie. Niezłe bywają daszki sportowe. Ale kobieta prawdziwie elegancka i pomysłowa, kobieta, par excellence kobieta, potrafi wymyślić coś bardziej malowniczego, twarzowego, a przedewszystkiem indywidualnego: strzępiasty kapelusz z rafji barwna parasolka, kretonowa, pleciona.

Do elegancji plażowej należy torba, harmonizująca z plażowym kapeluszem lub parasolką.

Jeszcze jedno z kardynalnych praw racjonalnego plażowania: na powietrzu i w słońcu wolno przebywać jedynie w kostjumie suchym, to znaczy przed wejściem do wody. Zarówno oparzelizny, jak nagłe reumatyzmy, postrzały i ischiasy są najczęściej rezultatem wysiadywania na słońcu i wietrze w kostjumie wilgotnym. A więc po wyjściu z wody, zmiana dekoracyj: zamiast mokrego trykotu — suchy. Albo lepiej nie, toby było zbyt monotonne. Zamiast trykotu kąpielowego lekki kostjum do plażowania, z jedwabnego płócienka w paski. Bluzeczka na ramiączkach, krótkie, przewiewne porteczki.

A może Pani ma już wogóle dość słońca? Co zanadto, to niezdrowo — powiada stare przysłowie. Nie znaczy to bynajmniej, by Pani już miała opuścić plażę. Nie, bynajmniej. Należy się tylko cokolwiek ubrać. O, lekko, leciutko. Nie w żadną znowu sukienkę. W pyjamę. Pyjama jest strojem obecnie par excellence plażowym. Chodzi się w niej od wczesnego rana i dopiero późnym wieczorem, idąc na dancing do kasyna zamienia się ją na toaletę wieczorową. Przez cały dzień w miejscowościach nadmorskich elegancką kobietę obowiązują spodnie. Na plaży i na promenadzie, na pokładzie yachtu. Spodnie szerokie, coraz szersze, sprawiające w niektórych pozach wrażenie długiej i szerokiej spódnicy.

Klasyczna pyjama powinna się składać że spodni, bluzki bez rękawów i długiego płaszcza za kolana, mogącego w potrzebie zastąpić płaszcz kąpielowy.

W dni chłodniejsze nieocenione są pyjamy flanelowe, rozkosznie przewiewne są wszelkiego rodzaju płócienka i piki. Barwne, pstre jedwabie pozwalają roztoczyć w zakresie pyjamy cały przepych toalet strojnych. To też obok pyjam o charakterze wybitnie sportowym, widzimy pyjamy buduarowo-zalotne. Na plaży niewątpliwie właściwsze i w lepszym guście są te sportowe. Te inne należy zostawić na użytek bardziej intymny. W wodzie i w słońcu nie powinno być uczuć i myśli innych niż najprostsza i najniewinniejsza radość. Radość z życia, z powietrza. Radość ruchu i radość młodości. Bo młodym powinien się czuć każdy. Przynajmniej podczas wakacyj. Jest to najlepszy sposób, aby przez resztę roku nie czuć się tak bardzo znużonym, tak beznadziejnie starym.



Z MODY MĘSKIEJ

W Londynie ukazał się nowy rodzaj krawata, który na czarnem tle ma w rysunku motywy zwierząt (psów i koni).

*

Naśladując Księcia Walji, eleganci londyńscy noszą obecnie spodnie z flaneli w kolorze orzechowym, żywo przypominające krój inekspryrnabli à la Nanking (pierwsza połowa XIX w.).

*

Można być ubranym według mody, jednakże przytem odznaczać się indywidualnością. Osobisty smak musi decydować do jakiego stopnia należy się do mody stosować.

*

Na ostatnich Derbach w Frankfurcie n. M., król Portugalji był ubrany w szeroki, biały płaszcz, skrojony na formę reglana. Do tego król miał biały parasol o jasnoblond rączce z malaki.

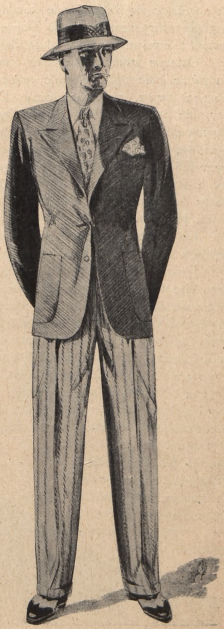


p. Wł. Dan, twórca świetnego chóru w teatrze Qui-Pro-Quo.









*

Mocno kolorowe garnitury męskie królują tego roku niepodzielnie na wszystkich najmodniejszych plażach i kąpieliskach europejskich. Najczęściej spotykają się kolory: malwy i czerwonego wina, przy zastosowaniu krawatów tej samej barwy.

*

W miesiącach letnich najlepiej prezentują się długie krawaty z fularu, o dość dużej lecz nie pstrej ornamentacji, przy niskim, półsztywnym, stojąco-wykładanym kołnierzyku.

*

Jedwabne chustki należy nosić tylko i jedynie przy jedwabnych półsportowych koszulach.

Najmodniejszym materjałem na letnie garnitury, jest gatunek «Fresco», tkanina w rodzaju kamgarnu i sanistrella.

*

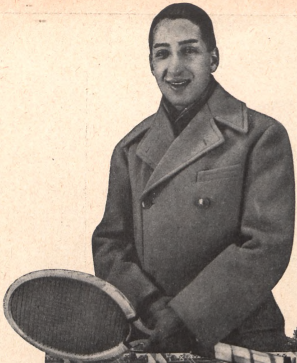
Bardzo elegancko prezentuje się miękki kapelusz słomkowy (panama) z czarną wstążką, jako dernier cri.

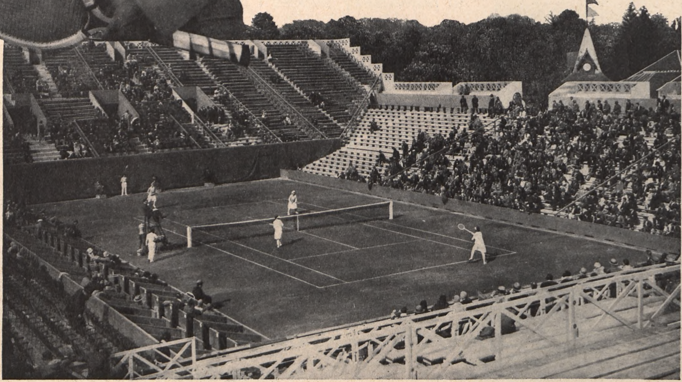
Flanelowe spodnie koloru wielbłądziego są nadal noszone z dużem powodzeniem, przy jednorzędowej marynarce koloru bronz.

*

Dobrze ubrany dżentelman, nosi na spacerze ogrodowym w miejscowości uzdrowiskowej: dwurzędową marynarkę z czarnego kamgarnu, przy białych, flanelowych spodniach, kołnierzyk z klapkami, muszkę, kapelusz słomkowy i białe reniferowe, ciemną skórką ozdobione półbuciki.


DELAGE
8 cyl.
6 cyl.
to największy sukces i najwiękza sensacja tegorocznego sezonu automobilowego.
DELAGE
zadawalnia najwybredniejszych
JENERALNA REPREZENTACJA:
D/H JERZY ŻOCHOWSKI
WARSZAWA, PLAC NAPOLEONA 5. TEL. 339-33.
J.Radlicz





U góry: Cochet. Na korcie paryskim Helen Wills i Edith Gros przeciwko Mathien i Lafaurre

MARJAN HEMAR

O PRZYGODACH

Są ludzie, którzy lubią opowiadać o swoich przygodach. Właściwie każdy lubi. Niema takiego, któryby wiele nie dał, przypuśćmy, za taką chwilę: Siedzi w pokoju, w wygodnym fotelu. Za oknami jesienny dżdżysty wieczór. Deszcz stuka o szyby, ogień trzaska w kominie, dookoła obsiedli go słuchacze i wstrzymują dech. On wpatrzył się w szklanicę grogu przed sobą, potem zaczyna opowieść.

W powieściach urywa się zwykle na tych słowach rozdział i następuje wkładka, zatytułowana:

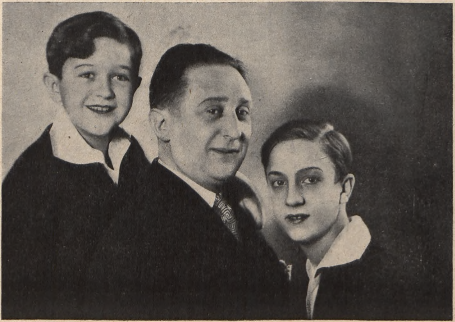
OPOWIADANIE STAREGO KAPITANA.

Wcale to nie jest jeszcze największe nieszczęście, jeżeli stary kapitan nie umie opowiadać płynnie i potoczyście. Są przygody, które opowiadają się same, szczególnie, jeżeli się je samemu przeżyło.

Nieszczęście zaczyna się dopiero z tą chwilą, kiedy przygoda jest nieważna. Wogóle jakaś mizerna historja, o tem, że dwadzieścia lat temu ukradli mu zegarek, kiedy pierwszy raz jechał tramwajem, albo, że jako dziecko miał odrę. W istocie nie każdy może zacząć opowieść od słów: «Kiedy w latach osiemdziesiątych trzecich przyjechałem z workiem złotych nuggetów do Frisko i tak dalej». Ale co robić? Każdy lubi coś czasem opowiedzieć. A tu tymczasem przygody, jak na lekarstwo, żadnej nie ma i nigdy nie miał. I co najgorsza — nie będzie miał. Bywają tacy ludzie, że się ich żadna przygoda nie czepi.

Ja sam jestem takim człowiekiem.

Nie powinienem się właściwie z tem zdradzać — to żaden zaszczyt. Weźmy takiego człowieka, jak ja: i pamięć ma dobrą, więc nie zapomniałby, i opowiedziećby potrafił i wykorzystałby literacko w jakiem piśmie, czy w książce—tymczasem nic. Przygody go omijają.



Ludwik Lawiński świetny artysta teatru Qui Pro Quo z synkami: Tadzikiem i Marysiem



Bywają tacy ludzie. Całe życie marzą o tem, żeby im się co przydarzyło. Inni, niemiadomo czemu, chodzą po świecie, jakby piorunochrony przygód. Gdzie się ruszą, idzie za nimi w ślad jakaś awantura, katastrofa, przypadek, zagadka. Jedna liczba przynosi im szczęście, druga pecha. Suma liter w ich imieniu i nazwisku daje trzynaście, albo siedem, urodzili się pierwszego stycznia, pierwszego kwietnia, albo dwudziestego dziewiątego lutego, na ulicy spotkała ich cyganka i powiedziała im rzeczy zdumiewające i prawdziwe, przypadkiem kupili los i wyszło, byli na seansie spirytystycznym i pokazały się duchy, zapodziała im się żyletka i w nocy przyśniło się, gdzie ją schowali. Mnie los poskąpił.

Wedle ilości przygód, powinienem być buchalterem a nie literatem i automobilistą.

Od lat próbuję być zabobonny, pukam trzy razy w drzewo, spluwam za siebie, za nic nie przejdę pod drabiną, ocieram się o kominiarzy, chwytam się za guziki i czuję z goryczą, że się wygłupiam. Suma liter w mojem imieniu i nazwisku wynosi jedenaście. To jest żadna liczba. Niema takiej kabały, takiego sennika, takiego przesądu, żeby jedenaście coś oznaczało. Wmawiałem sobie przez długie lata, że trzynastka przynosi mi szczęście — niewiadomo, jakiem prawem.

Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Sopot — w jakich latach dziewięćset dwudziestych trzecich — postawiłem zaraz po przejściu progu kasyna na trzynastkę. Zdaje mi się, że wtedy pięć tysięcy marek. Wygrałem en pleine sto osiemdziesiąt tysięcy. Drugiego dnia też wygrałem na trzynastkę a czwartego dnia depeszowałem do domu, do Lwowa, żeby mi przysłali na drogę parę centów, bo przegrałem wszystko, co mi pożyczyli spotkani znajomi.

Dwa razy byłem u wróżek, o których słyszałem rzeczy niewiarygodne i niesamowite. W obu wypadkach trafiłem na stare idjotki, którym, po kwadransie rozmowy, wró-

żyłem z ręki co mi ślina na język przyniosła. Obie były przekonane, że jestem kolegą po fachu...

Trzy razy miałem los, kupiony uczciwie w kolekturze i jeden raz tylko wyszła mi stawka.

Kilka razy byłem na seansach spirytystycznych, siedziałem godzinami pociemku, jak ostatni kretyn i z nudów zawsze sam zaczynałem stukać nogą w stolik. Parę razy próbowali mnie hypnotyzować najsławniejsi hypnotyzerzy Europy, ale żadnemu się nie udało, chociaż wymachiwał mi przed nosem palcami i wytrzeszczał na mnie gały. Śni mi się coś każdej nocy — ale zawsze jakieś głupie, idjotyczne sny, raz, że spadam, drugi raz, że lecę, trzeci raz, że jestem goły na ulicy.

To jest cały bilans moich niesamowitych przeżyć. Jakby się poprostu los na mnie uwziął.

Inni grają w bridża i mają jedenaście pików z ręki i dwa asy z boku. Ja miewam zwyczajnie cztery asy po obu bokach, a mianowicie u dwóch moich przeciwników. Prawda, że wygrywam ale tylko dzięki wysokiej klasie gry... Kupiłem sobie samochód. Mówią o mnie, że jeżdżę, jak warjat. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy kilometrów zrobiłem dotąd za wolantem i jeden, jedyny raz miałem przygodę: zgniotłem skrzydło, kiedym wjeżdżał w bramę w tempie sześciu km. na godzinę.

Ale ja przynajmniej nie opowiadam. O to właśnie chodzi w moim niniejszym feljetonie.

Chodzi o to, żeby mi nikt nie opowiadał swoich przygód. Zwracam się z uprzejmą prośbą do wszystkich znajomych — prywatnie i zosobna prosić nie wypada, bo może ten i ów podejrzewać, że z niego jednego kpię — otóż proszę wszystkich znajomych, żeby mi nie opowiadali swoich snów, wizyt u wróżki, swoich spotkań w pokerze i swoich wypadków samochodowych.

Wiem, że są to rzeczy szalenie interesujące w chwili, w której się je przechodzi. Ja sam wjechałem raz w chytry wiraż, którego nie znałem, pełną osiemdziesiątką, zarzu-

ciło mnie, polatałem sobie od rowu do rowu, wyprostowałem wóz i pojechałem dalej zdenerwowany i pełen podziwu dla siebie. Byłem przekonany, że ludzie będą słuchać tego potem z zapartym tchem, ale nikt nie chciał słuchać, tylko każdy chciał opowiedzieć coś tysiąc razy ciekawszego — a mianowicie taką samą historję, tylko że swoją.

Swego czasu, żadne pismo satyryczne nie obchodziło się bez kącika, poświęconego «myśliwskiej łacinie». «Fliegende Blätter» w swoim najświetniejszym okresie składało się w ośmiu dziesiątych z kawałów o myśliwych, którzy opowiadają o swych jamnikach, albo o tem, jak na tysiąc kroków, o północy, przestrzelili piętaście zajęcy jedną kulą. Jak długo to są kawały, tak długo dobrze. Ale są ludzie, którzy próbują mi jeszcze dziś, opowiadać takie rzeczy naprawdę. Nic mnie to nie obchodzi, że kot puścił farbę a rogacz dostał w komorę. Głuszec — szmuszec i tyle.

Tak samo proszę, żeby mnie nie zamęczano łaciną bridżową.

«Opowiem panu rozgrywkę, jaką miałem przed trzema tygodniami. Grałem ja, Sędzimirski, doktór Szapiro i mecenas Repecki — najlepszy gracz w Warszawie. Ja grałem z Repeckim. Mam w karcie trzy małe kara, asa, waleta, dziewiątkę pik, mariaż kier z młódkami i gołego asa tref. Co pan mówi na mojem miejscu»?

Nie dosyć, że mi taki wylicza trzynaście kart, a czasem wyliczy czternaście, że mi każe pamiętać, że mi niby naprzód nie chce zdradzić, co mieli tamci, że mnie pyta, co jabym powiedział na jego miejscu poto, aby mnie «złapać», aby mi udowodnić, że on powiedział lepiej, nie dosyć, że się myli w wyliczaniu kart i poprawia cztery razy, że jemu samemu robi się natychmiast chaos w głowie, nie mówiąc już o mnie — jeszcze chce, aby mnie to interesowało.

Tymczasem zwyczajnie, w połowie opowiadania zaczyna taka rzecz nudzić samego opowiadającego, nie wie, jak dotrzeć do końca, czuje, że się wygłupia i w rezultacie rozstajemy się z niesmakiem.

Najgorsze nieszczęście, to są opowiadania automobilowe. Powiedzmy sobie na rozum: Każdy, kto jeździ, miał kiedyś źle wzięty wiraż, oponę, dwie opony naraz, cztery opony naraz, dziurę w chłodnicy, koń mu się spłoszył przed maską, łapserdak wyskoczył mu na drogę, zająca zabił w nocy, karburator mu się zapalił, albo wogóle cały gruchnął o drzewo. To nie są ciekawe rzeczy dla drugich.

Niech nie opowiada. Bo jak dziesięciu zacznie opowiadać — a jak kto sam opowiedział i wysłuchali go, to nie wypada, żeby drugich nie wysłuchał, bo przecież dlatego go słuchali, bo wiedzieli, że potem sami opowiedzą — więc, jak dziesięciu zacznie pokolei opowiadać, to i wieczór stracony i chandra na tydzień gotowa i przez trzy dni trudno do samochodu wsiąść, bo mdli.

Pomyśl pan spokojnie, zanim mi zaczynasz opowiadać o swoim strasznym wypadku na szosie, między Jełopowem a Liszajami Dolnemi:

Żyjesz, znaczy przygoda nieważna była. Lekceważę takie przygody. Ja sam nie opowiadam i ty mi nie opowiadaj. Już lepiej spytaj mnie, «co słychać»?, ja powiem «przeczytaj pan sobie mój ostatni feljeton «O przygodach samochodowych» i rozstaniemy się bez uczucia niesmaku.

Bo pisać o samochodowych przygodach można. Pisze się tedy co innego. Już moja głowa w tem i co tu dużo gadać — mój fach, żeby napisać feljeton samochodowy, żeby tam nic właśnie nie było, tylko o jakimś kapitanie, o ruletce, o rogaczu, o bridżu i o wróżkach i żeby jeszcze miejsce na naukę moralną zostało...

«MIŁOŚĆ, CZY PIĘŚĆ?»

krotochwila w 3-ch aktach Dunina - Markiewicza i Fijałkowskiego w teatrze Małym. Reżyserował S. Stanisławski.

Na fabułę krotochwili nowej spółki autorskiej składa się szereg zabawnych perypetyj, wynikłych z dziwactwa kresowego ziemianina, który pozostawił po sobie oprócz majątku dwa identyczne testamenty na rzecz dwojga młodych ludzi, różniących się krańcowo w poglądach i usposobieniu. Kończy się wszystko, oczywiście, małżeństwem dwojga spadkobierców, dokuczających sobie na przestrzeni półtrzecia aktu.

Nie można brać za złe autorom tak pomyślnego zakończenia sztuki, jednakże sam sposób podejścia do tego rozwiązania jest wielce powierzchowny i mało przekonywujący.

Na dobro sztuki zapisać należy zręczne podmalowanie tła akcji doskonale znanego obu autorom i nakreślenie galerji typów wiejskich. Postaci głównych bohaterów grzeszą pewną płytkością i naiwnością rysunku. Modzelewska swoim wrodzonym wdziękiem



Fot. St. Brzozowski *p. Marja Modzelewska i p. T. Wesołowski*

zamaskowała niejeden defekt roli, grała z należytą werwą i temperamentem. Dobrym partnerem Modzelewskiej był Wesołowski w roli niezaradnego, lecz przesiąkniętego dobremi tradycjami filozofa.

W rolach drugoplanowych na pierwszem miejscu jest Sulima — zalotna grafomanka.

Krzewiński i Szubert czynili, co mogli, by stuszować wady ról dwuch adwokatów. Udało się im to tylko po części, albowiem w założeniu krotochwili ci adwokaci mają być zdecydowanymi złoczyńcami.

Pierwsze dzieło nowej spółki nie odniosło wielkiego sukcesu. Miejmy nadzieję, że wynik I-ej próby nie zrazi autorów do nowych poczynań.

Krotochwila przecież jest formą teatralną wielce obecnie popularną i poza bodajże jedynym Rapackim nie mamy obecnie autorów, piszących krotochwile w czystej formie.



p. J. Krzewiński



p. J. Staszkowski

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

RADY PRAKTYCZNE

«Redakcja «Teatru i Życia» darzy mnie oddawna wyjątkowemi względami. Wywołuje to podziw jednych, zawiść drugich, i jest nawet, do pewnego stopnia, powodem głębokiej melancholji t r z e c i c h, wychodzących z redakcji wydawnictwa, jak to się mówi, z k w i t k i e m.

* * *

A rzecz się tłumaczy tymczasem bardzo prosto. Każda redakcja potrzebuje pisarza uniwersalnego. Każdej redakcji zależy na literacie, wykształconym encyklopedycznie. A takim pisarzem właśnie ja jestem. Znam się na teatrze, na życiu wytwornem, na poezji, na sporcie, na kuchni, na prawie, na miłości — nawet na medycynie się znam! Cóż w tem więc dziwnego, że «Teatr i Życie» w każdej opresji, jak w dym, do mnie?

— Sto?

— Dwieście.

— Krakowskim targiem: stopięćdziesiąt.

— Niech będzie.

— I feljeton nazajutrz gotów.

* * *

Miałem pisać do tego numeru o dziesięcioleciu plebiscytu na Mazurach. W ostatniej chwili jednak okazało się, że żmije są znacznie aktualniejsze. Znajdowałem się właśnie w łazience, gdy zadzwonił telefon.

— Allo? To pan?

— Tak, to ja — odpowiedziałem ze szczoteczką w zębach, łykając pośpiesznie resztę kredy i elixiru (znakomity cocktail!) — co się stało?

— Straszny wypadek! Artystkę naszego baletu, pannę Xymenę Puździachównę, ugryzła wczoraj w Konstancinie żmija... Kona!

— Żmija?

— Ależ nie, Puździachówna!

— Dziwne. Widziałem ją przed chwilą przez okno. Jechała w kostjumie beige i w berecie beige Cytrynką beige z jakimś młodym człowiekiem w pull-overze beige. Wyglądała, jak wiosna.

— Hm... Widać ją odratowali... Ale czy pan, redaktorze, nie chciałby z tego powodu napisać feljetonu?

— O Puździachównie? Niech napisze Liński.

— Nie, o żmiji.

— O żmiji???

— Wogóle, o żmijach. To teraz takie aktualne. Pan się przecież na tem musi znać, bo pan był, przez szereg lat, znakomitym rolnikiem i hodowcą.

— Konie hodowałem, krowy, świnie, ale żmij — nie.

— No, tak. Ale jeżeli pan zechce, to pan przecież potrafi?

— Chodzi właśnie o to, żebym z e c h c i a ł.

— Więc to jest tylko kwestja honorarjum!

— J a m y ś l ę!

— Sto?

— Dwieście.

— Krakowskim targiem: stopięćdziesiąt.

— Niech będzie.
No, i macie feljeton...

JAK WALCZYĆ ZE ŻMIJAMI?

Żmija, oprócz Ogrodu Saskiego, znajduje się również w Ilustrowanej Encyklopedji Trzaski, Everta i Michalskiego, między Żmigrodem Nowym, miasteczkiem w woj. Krakowskiem, nad rzeką Wisłoką położonem, a Żmijewskim Eugienjuszem, agronomen i literatem, autorem szeregu opowiadań z życia syberyjskiego. Żmij wymienia ta zacna encyklopedja kilka gatunków, naprzykład koralową, (Elaps corallinus), piaskową (Vipera ammodytes), zygzakowatą (Pelias berus)... i odsyła, za każdym razem, do Viperidae. Wobec tego jednak, że nie chciało mi się szukać dłużej i nie bardzo dobrze wiedziałem, po jakiej literze w naszym alfabecie przychodzi litera «V»... poprzestałem na tem.

Żmija jest, jak to już wiemy z pism, obrzydliwem stworzeniem. Gryzie człowieka w chwili najnieodpowiedniejszej i potem trzeba rankę albo a) wysysać, albo b) wypalać. Otóż, zanim przejdę do właściwego tematu, to znaczy, do sprawy walki z paskudnemi płazami, z całym naciskiem zaznaczam, że przy ukąszeniu żmiji, tak samo, jak w każdej innej sytuacji, rasowy mężczyzna powinien zachować zimną krew i zupełny spokój. Jeżeli mu żmija ukąsi ukochaną kobietę, zalecam stanowczo sposób a)

wysysanie rany.

Jeżeli natomiast żmija ukąsi kogoś z dalszej rodziny, np. teściową, zalecam sposób b)

wypalanie rany.

Jeżeli (co jest mało prawdopodobne) żmija ukąsi nie kobietę, tylko mężczyznę (prawie wykluczone: co to za satysfakcja gryźć owłosioną ikrę?) można zastosować oba sposoby razem, a pozatem,

napić się wódki,

Alkohol paraliżuje działanie jadu, co potwierdzi każdy restaurator.

Celowsze znacznie jest jednak duszenie wroga w zarodku, nim się stanie groźnym. W pierwszym rzędzie zatem—niszczenie żmiich jaj (ewentualnie gniazd) a następnie, bezlitosne tępienie już wylęgniętych żmij. Żmija, jako wąż, jest bardzo chytra. Otóż wyniki normalnych «kórkowych» polowań z dużą ilością myśliwych i małą ilością naganki będą znikome. Najlepiej wychodzić na żmije samotnie, uzbroiwszy się w broń palną, lasso i kordelas. Albo w rewolwer, okuty kij i siatkę na motyle. Obuwie należy mieć nieprzemakalne, bo żmije chętnie przebywaja w miejscach wilgotnych, gdzie łatwo nabawić się kataru.

Wyjazd zagranicę, jako jedną z form walki z reptyljami, uważam, w pewnych wypadkach, za bardzo wskazany. Nie należy tylko wracać przed grudniem. Bo, w razie łagodnej jesieni, żmije mogą długo nie spać. Przebywając zagranicą zalecam unikać miejscowości nieskanalizowanych: i tam również sygnalizowano w tym roku żmije. A najlepiej broni nas przed wężami — ichneumon. Wystarać się o ładnego ichneumona — o, toby był najlepszy sposób! Na zakończenie: na walkę ze żmijami Bank Gospodarstwa Krajowego dotychczas pożyczek nie udziela.



OBICIA PAPIEROWE
W WIELKIM WYBORZE

POLECA

F. STASZEWSKI
WARSZAWA, MAZOWIECKA 8. TEL. 70-85.

wesołą zabawę. Zdaje się to być tembardziej prawdopodobne, że, jak dochodzą słuchy, dyrekcja postanowiła prócz pięknej, jak zwykle, wystawy wprowadzić do rewji zdrowy, dobry humor.

Szczęść Boże.....



P. Zofja Grabowska, artystka teatrów poznańskich, występowała z wielkiem powodzeniem w rewji „Morskiego Oka" „Codziennie Dancing"

P. Lena Żelichowska, artystka teatru „Morskie Oko"



TEATR «MORSKIE OKO»

Rewja «Codziennie Dancing»

Rewja «Codziennie Dancing» to był eksperyment. Eksperymenty czasem się udają, a czasem nie...

Dyrektor Włast zapowiada na początek sierpnia nową rewję p. t. «Bawmy się razem».

Mamy nadzieję, że treść zapowiadanej rewji potwierdzi jej nazwę, dając publiczności prawdziwą,

«WESOŁY WIECZÓR»

Na odległej od śródmieścia peryferji Warszawy, w dzielnicy Wolskiej rozpoczął swoją pracę teatrzyk «Wesoły Wieczór». Początkowo miał to być niejako «drugi ekran» teatru «Morskie Oko». Nowy teatrzyk zapożyczał z «Morskiego Oka» nietylko dekoracyj i kostjumów, lecz i repertuaru. Już pierwsza rewja dzięki pracowitości dobrze dobranego zespołu spotkała się z życzliwem przyjęciem.

Kierownictwo teatru rozumiało doskonale, że ten system może wystarczyć tylko na krótką metę, — po wyczerpaniu pierwowzorów «Wesoły Wieczór» był zdany na łaskę i niełaskę teatrzyków śródmieścia.

W poszukiwaniu własnych dróg twórczości artystycznej, teatr zaangażował własnych dostawców tekstów literackich i muzycznych, równocześnie pozyskał współpracę najbardziej popularnych artystów.

Ten wysiłek teatru nie poszedł na marne: do «Wesołego Wieczoru» garnąć się poczęła nietylko ludność dzielnicy Wolskiej, lecz i publiczność ze śródmieścia stolicy. Krytyka rozpoczęła traktować «Wesoły Wieczór» równorzędnie z teatrzykami śródmieścia.

W stałym zespole teatru spotkaliśmy aktorów lubianych i popularnych: Rentgena z jego nieodłączną gitarą, Bukojemską, zabawnie imitującą Krukowskiego, doskonałego baletmistrza Koszutskiego z dobrze dobranym, pracowitym zespołem girls, dobrego aktora Macherskiego, weterana operetki Horskiego i in. Nie poprzestając na tem, teatr rozpoczął sam kształcić aktorów. W «Wesołym Wieczorze» ujrzeliśmy młodego świewaka Leliwę, dotąd prawie nieznanego, w osobie p. Kraszewskiej będziemy mieli niewątpliwie bardzo dobrą pieśniarkę, zdolnego tancerza-akrobatę Heinricha i Prokopiakównę, która bardzo szybko wyrabia swoją technikę taneczną.

W dwóch kolejnych rewjach podziwialiśmy Lucy Messal, która dzięki dobremu repertuarowi, przypomniała nam najlepsze okresy swej świetnej karjery scenicznej.

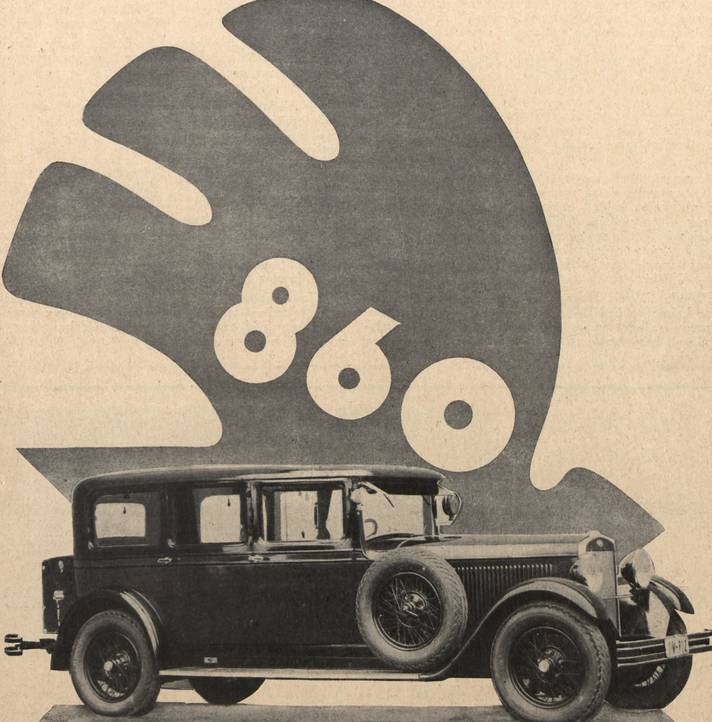
Ostatnim nabytkiem teatru jest utalentowana artystka Zizi Halama, która nie poprzestając na tańcu ukazuje się w skeczach. Udział Halamy w zespole, to nowy szczebel w pracy artystycznej teatru.

Od jesieni «Wesoły Wieczór» przenosi się do śródmieścia — na Nowy Świat. Skoro potrafił na Woli zjednać sobie sympatję teatralnej stolicy, zachowa ją zapewne i w śródmieściu.



U góry: Rentgen, Kamiński i Skonieczny. U dołu: efektowny finał I. Fot. St. Brzozowski

Największą satysfakcję daje jazda 8-io cylindrowym samochodem



ŠKODA

MIECZYSŁAW SZCZĘSNY

LUSTRO

Jak raniony zwierz, dysząc ciężko brakiem tchu w piersiach, ociekając dużym, ciężkim, kroplistym potem, Wirski zbiegł ze sceny i zataczając się prawie, wpadł do swojej, z wyszukanym komfortem urządzonej, garderoby.

Jakiś tragiczny skurcz ściął mu mięśnie na twarzy, obleczonej grubą warstwą szminki, z pod której, jak zły los, jak fatalne memento spozierała jedna... dwie... trzy głębokie bruzdy.

Usiadł ciężko na krześle przed toaletką z dużem lustrem, oparł głowę na rękach i zastygł w bolesnym bezruchu.

Oklasków coraz mniej!... Dziś nie było ich prawie wcale. Jak ostatnie krople po rzęsistym deszczu, po burzy, które pojedyńczo spadają z dachu. Można je dokładnie przeliczyć...

A przecież był czas inny! Nie tak dawno jeszcze temu... Gdy zjawiał się na scenie, on, Wirski, bożyszcze tłumów, ulubieniec kobiet, amant, śpiewak wzruszających piosenek, — on, półbóg, Apollo, gdy ukazywał się w świetle kinkietów, tłum szalał z zachwytu, ryczał i wył, jak tysiącgębny potwór, żądny radości i wzruszeń, jakiemi go ze swej wysokiej łaski obdarzał piękny, ziemski zesłannik muz — Wirski.

„Wirski, Wirski", wrzeszczały wówczas tysiące bajecznie kolorowych plakatów, „Wirski, Wirski", jak synonim urody, radości, wspaniałego piękna męskiego spozierało niemal bezustannie ze wszystkich płacht dzienników.

Nic i nikt nie był w stanie z nim rywalizować. „Wiruś", jak go przezywały ubóstwiające go tłumy, był tylko jeden, niezastąpiony, wiecznie młody, piękny i porywający, jakby na zawsze utrwalony w swojem tworzywie artystycznem.

Aż oto nagle pewnego wieczora, kapryśny tłum zaciął się. Jakby coś nieoczekiwanie zgrzytnęło w dotychczas dobrze działającej maszynie.

— Wirski jest dziś niedysponowany — przeszło złowrogo przez tłum. Ale łomot oklasków, jak huk wodospadu zerwał się ponownie z tysiącznych rąk i radosnem echem odbił się o wysokie sklepienie teatru.

Mimo to od dnia owego oklaski rzedły, było ich coraz mniej... Radość tłumów wolno i bezlitośnie zaczęła się przemieniać w uznanie, potem w sympatję, wreszcie w łaskę, aż prawie całkiem wygasła.

Wirski siedział przed lustrem z głową opartą na dłoniach i patrzył gdzieś wdal, w świat wspomnień. Nie widział i nie rozumiał nic. Myśli rozluźniały się, miękły i spływały, zanim zdołały dojrzewać.

Macając w próżni świadomości, czterdziestoletni prawie Wirski natknął się na twarz obcą, straszną, przyczajoną i nienawistną i najeżył się, jak poszczuty pies.

Prędko, jakby ze strachem począł się przyglądać sobie w lustrze, szybkim ruchem nałożył na twarz warstwę tłuszczu, pod którą szminka topniała, nadając mu śmieszny wygląd błyszczącej i groteskowej maski, otarł ręcznikiem lepką, brudną ciecz i znów spojrzał w lustro...

Znów wyłoniła się straszna, obca, przyczajona twarz. Pełna bruzd nad ustami, zmarszczek na czole z obwódkami opuchlizny pod oczami, oczami bez blasku... bez ognia młodości, przygaszonemi...

Przetarł ręką czoło i natrafił na włosy. Zdumiał się. Gdzie się podział ich gąszcz, puszystość, żywość, połysk?.. Anemiczne i cienkie, jak nitki wypłowiałego jedwabiu, smutnie zwisały, jakby zawstydzone i spłakane wilgocią potu. A z pod nich wyzierała przerażająca biel skóry...

— Wszystko pozostało tu, jak było dawniej — próbował wyobrażać sobie. — Te ściany, z jedwabnemi obiciami, chiński parawan, miękka i wygodna kozetka, obrazy. I to lustro!... Lustro, które jest zimne i mówi prawdę. Straszną, bezlitosną prawdę. Nic się nie zmieniło od niedawnej, wspaniałej przeszłości, wszystko pozostało jak dawniej, tylko on, Wirski... Przyjdą inni, młodzi, piękni i będą się odbijać w tem samem lustrze...

— To nie ja, to przecież nie ja — płakało mu serce, gdy nie mógł doszukać się nieskazitelnych rysów w zniszczonej, sflaczałej twarzy.

I teraz, gdy wyłuskany z kłamstwa szminki, w obliczu obstępującej go nicości, kurczowym krzykiem rąk szukał dookoła czegoś, do czego mógłby przywrzeć, na czem mógłby się odcisnąć, utrwalić, naprzekór oczywistości zmiany, jakiej uległa twarz jego, nieubłaganie oddana procesowi starzenia się, ręka jego natrafiła na ciężki, kryształowy flakon. Drgnął, jakby się dotknął przewodnika elektrycznego.

— Nie chcę, nie chcę prawdy! — wrzasnęła w nim myśl. Wlepił rozszalałe spojrzenie jeszcze raz w lustro, odsunął się wtył i z całej siły wyrżnął flakon w środek lustrzanej fali.

— Cha, cha, cha, starzec! Starzec! Zwyciężyłem cię, ja, martwy przedmiot, ja, Prawda — śmiało się lustro szczerbami i zygzakami stłuczonego szkliwa.

■

Ruch w mieście był już duży gdy Wirski błądził po wąskich uliczkach, krętych i zawikłanych, jak jego skłębione myśli. Szedł ze zwieszoną głową i trząsł się z zimna. Nie wrócił tej nocy do domu. Bo i poco? Spać? Sen uciekł. Pozostał tam, w czasie, gdy syty powodzenia i chwały aż do zachłyśnięcia, Wirski kładł się w miękki, jedwabny puch chłodnego łóżka, aby z uśmiechem pełnego zadowolenia na twarzy pogrążyć się w błogą nieświadomość.

Dziś? Poco mu był odpoczynek? Dziś nie myślał o rozkoszy rannej kąpieli, która orzeźwiała jego jędrne, mocne, gruzłami mięśni wypchane ciało.

Wałęsał się całą noc półprzytomny, pełen nieludzkiego bólu.

Obojętnie przypatrywał się wszystkiemu, co się działo na ulicy. Nigdy jej nie oglądał o tej porze, kiedy na opustoszałych polach przestronnych jezdni, wyrosłe z ziemi przez noc spiętrzone sześciany i piramidy domów oblane są światłem rannego słońca.

Na rogu, gdzie przy większym bloku przykucnął mały, stary, jednopiętrowy domek, a dookoła roznosił się zapach kiszonej kapusty, Wirski przystanął na chwilę. Uwagę jego zajęło okno pralni, takiej, jakiej jeszcze nigdy dotychczas nie widział.

Za deskami, pokrytemi rażącą bielą pokrowców, stały dwie dziewczyny i rozleniwionemi ruchami prasowały bieliznę. Miały zaspane oczy i twarze złe, jakby za to, że ich obowiązek zbyt rano wyciągnął z ciepła łóżek.

Wirski przez dłuższy czas przypatrywał się pracy dziewczyn, aż wreszcie jedna z nich podniosła głowę i spojrzała na niego. W jednej chwili jej opęczniała, zła twarz przyoblekła się w grymas uśmiechu, zaspane i opuchnięte oczka zrazu utworzyły dwie wąskie szparki, i po chwili jej

duże usta parsknęły śmiechem, ukazując dwa rzędy dużych, zdrowych zębów. Łokciem trąciła swoją towarzyszkę, która spojrzawszy na Wirskiego również zaczęła się szeroko śmiać.

Wirski w pierwszej chwili nie mógł rozumieć sytuacji, w której się znalazł, i zanim zdążył się wyplątać z gmatwaniny splecionych myśli, dziewczyny zdążyły wyjść przed sklep i stanąć w ramach drzwi. Na wysokości kilku schodków stały obie i, patrząc na wykrzywioną skurczem bólu i posiniałą wewnętrznem zimnem twarz Wirskiego, śmiały się.

— Z taką twarzą do cyrku, a nie do umizgów... Jaki byczy! Patrz, Jagna, jaki cyferblat. Te ślipki cholerne, niby smutne, a niby nie. Taki elegant, a taka twarz. Alembiczek? Panie ładny, zdejm pan kapelusz i powiedz pięknie o rewiderciu.

Wirski posłusznie, prawie automatycznie, zdjął kapelusz.

O mury wąskiej uliczki znów uderzyło echo wyparskniętego śmiechu.

— Uhu, rzadzizna, bidne włoseczki...

Reszty już nie dosłyszał. Powlókł się dalej. Ocierając się o ściany, brnął w koryto zawiłych ulic. Nie rozumiał nic. Szyba, okno, ściana, sklep, okno, szyba, lustro...

Znów?...

Z lustra na spotkanie jego wynurzyła się szara, ziemista twarz i rozpalone latarnie czerwonych oczu.

Twarz śmieszna, głupawa...

Przystanął. Zdawało mu się, że zaczął rozumieć. Z taką twarzą poprostu można straszyć ludzi, lub...

Wirski jednym susem znalazł się na drugiej stronie ulicy. Wyczerpany, na chwilkę oparł się o ścianę. W zapamiętaniu samoudręki zaczął sobie odtwarzać w myśli kolejno wszystkie fazy swojej karjery, aż do chwili obecnej... aż do upadku...

Upadku?...

„Z taką twarzą do cyrku..." przemknęło mu jeszcze raz krzykiem przez otchłań rozbolałej głowy.

Naraz wszystko prysnęło, myśli urwały się. Pogrążony w słodkie odrętwienie, wciśnięty w miękkie poduszki taksówki wracał do domu.

▪

Niezliczoną ilość razy kurtyna podnosiła się i opadała, a burza niemilknących oklasków nie ustawała. Jak grzmot dalekiego wodospadu dochodziły z widowni kabaretu na scenę poprzez ciężki zwisający materjał.

Wirski stał oszołomiony, zawstydzony prawie, w kącikach jego oczu czaiły się zabłąkane łzy. Był wzruszony i nie mógł się ruszyć z miejsca. Rozbiegani zwykle, jak mrówki, pracownicy sceniczni, maszyniści, aktorzy, tancerki — skupili się koło niego i z czcią, z zachwytem niekłamanym szeptali sobie słowa uznania. Patrzyli na Wirskiego, jak na kogoś, kto sztuką swoją potrafił zdumiewać, porwać, wzruszyć i rozczulić aż do łez... kto stanął wyżej nich.

Przez stłoczoną grupkę przecisnął się uszczęśliwiony, wyfraczony dyrektor i podszedł do Wirskiego.

— Cudnie, Janku, cudnie — bełkotał nieśmiało, nie mogąc dobrać odpowiednich słów. — Mówiłem ci, przepowiadałem... Znów jesteś wielkim artystą... innym, ale wiel-

kim. Słyszałeś, jak widownia ryczała? Zupełnie, jak dawniej. Płakali ze wzruszenia. Chodź!

Wziął Wirskiego czule pod ramię i poprowadził w stronę garderoby.

— Proszę ze sceny, zaczynamy! — przytłumionym krzykiem rozkazał inspicjent. — Światło!... Uwaga! Góra!

W przejściach kurytarzowych nieśmiało i z czcią usuwała się pod ściany przed Wirskim i dyrektorem młódź aktorska. Ciche szepty zachwytu zakwitały, jak upragnione kwiaty, toczyły się wartką falą i sączyły się w uszy Wirskiego, napawając go nieludzkiem szczęściem. A zdala dochodziły przytłumione dźwięki jazzowej orkiestry.

Weszli do garderoby pełnej kwiatów.

Znów wszystko było jak dawniej: ten sam parawan, kozetka, obicia z jedwabnego papieru, toaletka...

Tylko lustro było inne, nowe, mniejsze, a na wieszadle, zamiast wytwornych fraków, smokingów, najmodniejszych garniturów, wisiały pstre, wymyślne, szerokie, śmieszne kostjumy clowna.

A ze ścian nie patrzyły już fotografje uśmiechniętego, młodego, pięknego Wirusia. Nie było żadnych... Cała przeszłość została przekreślona.

— No cóż, stary, głowa do góry! Znów jesteś i będziesz bożyszczem tłumów. Najwyższą mądrością ludzką jest rezygnacja... Widziałeś zachwyt, słyszałeś ciszę, w której dzwonił twój głos, twój śpiew, twoje łzy? Zwyciężyłeś czas, zwyciężyłeś siebie samego, zwyciężyłeś tłum.

Poklepał go serdecznie po ramieniu i wyszedł.

Wirski pozostał sam z echem braw i słów dyrektora w głowie. Usiadł przed lustrem i jakiś zabłąkany uśmiech wykwitł mu na błazeńskiej twarzy. Przyjrzał się sobie. Jaka pocieszna, jaka śmieszna była ta maska clowna.

— Błazen — sprowokowało go lustro, jakby rozpalone do białości.

— Nie, nie, mój przyjacielu! Tym razem kłamiesz. Nie dam się zwieść, nie stłukę ci twojej płaskiej twarzy. Nie błazen — artysta, artysta!!! Jestem im potrzebny, tym ludziom, co dla mnie przychodzą do tej dużej ciemnicy. Przychodzą po wzruszenie, po zdrowy śmiech, by oderwać się od swoich trosk. Kochają mnie, pokochali znów. Nie ty mnie — to ja ciebie zwyciężyłem!

— Cha, cha, cha! — śmiał się Wirski, a lustro milczało zimnym, śliskim połyskiem.

„Wirski, Wirski" — wrzeszczały nazajutrz na wszystkich rogach ulic jeszcze pyszniejsze, jeszcze barwniejsze plakaty...



Zula... *Fot. St. Brzozowski*

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN. Wydawca: A. G. A. Sp. z o. o.

Redakcja i Administracja: ul. Jakubowska Nr. 14, tel. 72-85. Konto P. K. O. 16190.

Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.


POD TĄ MASKĄ
pracuje cicho i spokojnie najtrwalszy silnik Six'a. Silny a czuły, ciągnie on z równą łatwością 5 jak i 100 km. Podnieś maskę, zobaczysz jak budowa silnika jest wystudjowana i przystosowana do twoich wymagań i wygody: instalacja elektryczna łatwo dostępna i specjalnie izolowana, dostęp do świec i karburatora niezwykle dogodny, ułożenie imponujące. Jakieś drobne niedomagania w drodze możesz łatwo usunąć w ciągu kilkn minut, nie zabrudziwszy sobie nawet rąk.
Te same zalety znajdziesz pod maskami naszych 5/14 HP i 9/28 HP, które są bezsprzecznie najekonomiczniejszymi wozami świata.
SIX
Peugeot
12
Peugeot



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.